№ 44. Warszawa, dnia 3 Listopada (22 Października) 1888 r. Rok VIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Telegram ministra dworu donosi: Pociąg cesarski, wyszedłszy ze stacyi Tarnówka w południe 29 października, uległ rozbiciu na 277 wiorście, między stacyami Tarnówka i Borki, na nasypie, przerzuconym przez dość głęboki wąwóz. Podczas rozbicia Ich C. Moście wraz z Najjaśniejszą Rodziną i osoby świty znajdowały się przy śniadaniu w wagonie-jadalni. Przy zejściu z szyn pierwszego wagonu zaczęło się straszne kołysanie; następne wagony spadały na obie strony. Wagon-jadalnia, chociaż został na nasypie, lecz w stanie nie do poznania. Cała podstawa z kołami odpadła, ściany zostały zgięte i tylko daszek, skręciwszy się na jedną stronę, przykrył znajdujących się w wagonie. Trudno wyobrazić sobie, aby ktokolwiek mógł ocalić się w takich warunkach, lecz Pan Bóg ocalił Najjaśniejszego Pana i jego Rodzinę. Ze szczątków wagonu wyszli bez szwanku Ich C. Moście i Najjaśniejsze Ich Dzieci. Ocaleni zostali zresztą wszyscy, znajdujący się w tym wagonie, poniósłszy tylko lekkie stłuczenia, kontuzye i draśnięcia, prócz fligiel-adjutanta Szeremetjewa, który ucierpiał więcej od innych. Na nieszczęście rozbiciu innych wagonów towarzyszyły smutne wypadki. Zabici zostali: sztabs-kapitan korpusu feldjegrów Brosz, pomocnik lekarski Czekuner, pisarz Szernberg, oficjalista Lauter, dwóch kamer-kozaków, jeden strzelec ze służby pociągowej, dwóch ślusarzy, dwóch konduktorów, tapicer, sześciu szeregowców z batalionu kolejowego. Rannych jest 18. Baron Szenwal jest silnie potłuczony. Najjaśniejszy Pan raczył osobiście zająć się zorganizowaniem pomocy dla rannych. Bez względu na niepogodę, nieustanny deszcz i błoto, Najjaśniejszy Pan kilkakrotnie schodził z plantu do zabitych i rannych i zasiadł w przesłanym do miejsca katastrofy pociągu dopiero wtedy, aż ostatni ranny został przeniesiony do wagonu sanitarnego. Rannych odwieziono do Charkowa w towarzystwie generał - majora Martynowa, a pułkownik Hernet pozostał na miejscu katastrofy, aby zorganizować wysłanie zwłok zabitych i zebrać rzeczy, które ocalały po rozbitym pociągu. Najjaśniejszy Pan rozkazał przewieźć zwłoki zabitych do Petersburga i zabezpieczyć byt ich rodzin. Wskutek zagrodzenia drogi, pociąg z Najjaśniejszem Państwem skierowany został na linię jekaterynosławską do stacyi Łozowej. Na stacyi tej odprawione zostały na Najwyższe żądanie przez duchowieństwo wiejskie, w obecności Najjaśniejszych Państwa, nabożeństwa za spokój zmarłych ofiar katastrofy, oraz modły dziękczynne za cudowne ocalenie od wielkiego niebezpieczeństwa. Po ukończeniu nabożeństwa Najjaśniejszy Pan zaprosił wszystkich, włączając i obsługę pociągu, na salę stacyjną, gdzie spożyto spóźniony obiad. Śledztwo wyjaśni dokładnie przyczynę rozbicia pociągu, lecz o jakimkolwiek zbrodniczym czynie w tym wypadku nie może być mowy.

POLITYKA.

TAJEMNICA NIEPOWODZEŃ.

Nareszcie odezwał się z Poznańskiego głos krytyczny, nietchnący bizantynizmem, niepowtarzający bezmyślnie hymnów pochwalnych na cześć Koła polskiego w sejmach niemieckich, które nieraz staje się tak małem kółkiem, jak zero. Zasługuje on na tem baczniejszą uwagę, że nie wyszedł z zewnątrz, ale z łona dzielnicy. Przed paru tygodniami *Kraj* pomieścił ostrą korespondencyę z Poznania, której autor, pod pseudonimem Domarata, wypowiedział szereg gorzkich uwag swojemu społeczeństwu i jego przedstawicielom parlamentarnym. Według niego, opinia choruje tam na „prawdowstręt," którego przyczyną jest zatruta ambicya. „Bo małoduszności zdaje się, że gdyby prawdę sobie powiedzieć i postawić na oczy, świat by zapadł i duch by podupadł, jak gdyby ducha stale utrzymać można na „wyżynie" dziełami kłamstwa i fałszu." Wziąwszy rozbrat z tym przesądem, p. D. rozpoczyna surowy rachunek polityczny. Nie możemy — powiada on — zdobyć się na nowe sposoby działania dlatego, że „zleniwieliśmy w myśleniu, że z charakteru naszego i natury polskiej nawet w najbardziej otrzeźwionym umyśle jeszcze jest pełno żywiołów warcholstwa i tromtadracyi" (tak!). Przedewszystkiem zarzuca „dzierżawcom rozumu politycznego" i posłom poznańskim bezpłodne trzymanie się stanowiska opozycyjnego i wieczne lamenty na temat „zagrożonych spraw," a zarazem zupełne usuwanie się od udziału w obradach nad ogólnemi sprawami państwa. „Doszliśmy — mówi on — w Berlinie do tego, że nam już wcale nie odpowiadają... Ambicyą naszych posłów było i jest pięknymi frazesami i romantycznymi argumentami zadowolić podniebienia polityków ulicznych i babskich wyznawców dewocyi politycznej... Pogrążeni w bierności i bezowocnej pracy, popadają albo w zobojętnienie i faryzejstwo, albo w życie płaskie i epikurejskie. Cóż począć w Berlinie, kiedy długo czekać trzeba na jakiekolwiek emocye pracy, już jeżeli nie na pracę samą? Więc z szyneczku do szyneczku, obiadki, imieniny, whist, preferans itd. Potem się powie od czasu do czasu mówkę „w obronie zagrożonych praw," która jeszcze większy ucisk sprowadza i — honor narodowy uratowany."

W dyagnozie wskazane lekarstwo — potrzeba przyjąć czynny udział parlamentarny w ogólnych sprawach państwa dla wydobycia z nich własnej, narodowej korzyści. A jaki będzie skutek? „Zapewne—przyznaje p. Domarat — i ta zmiana taktyki nas nie zbawi, ale *nas uzdrowi na rozumie*, a reszta w ręku Boga." No, to niewiele, a natomiast owa „reszta" jest bardzo wielka. Dopóki autor oskarża, zdaje się, że ma w zanadrzu radę, która wyleczy społeczeństwo ze wszystkich dolegliwości; ale wyjąwszy ją, widzi, że ona „uzdrowi rozum," ciało zaś liczyć może tylko na pomoc nieba. Oddajmy mu wszakże, co jego jest. Zarzuty prawdowstrętu, bezczynności, „niesłucha-

nego" gadulstwa, otulania się w togi pogwałconych praw i nieuczestniczenia w pracach około interesów państwa są najzupełniej uzasadnione. Nawet gazety niemieckie napomykały wielokrotnie, że poznańczycy, troszcząc się wyłącznie o swoją prowincyę i nie należąc do komisyj parlamentarnych, sami przyczyniają się do wielu swoich szkód a nadewszystko tracą wpływ i znaczenie. Ale czy zmiana taktyki w tym jedynym punkcie zdoła zapewnić wielkie korzyści bez odpowiedniej zmiany w stosunkach zewnętrznych Koła? Dotychczas jest ono... piątem u wozu centrum, stronnictwa ultramontańskiego. Trudno zaprzeczyć, że partya ta okazała mu nieraz wiele sympatyi i współczucia, jest ona wszakże naprzód czysto niemiecką a powtóre bezwzględnie podległą nakazom papieża, który często nakręca swe dążenia i zamiary w kierunku życzeń rządu pruskiego. Pomijając tedy smutny obowiązek maszerowania z taką rzeszą ruchem wstecznym, według komendy klerykalnej, widzimy z doświadczenia lat kilkunastu, że związek ten oprócz garści czułych słówek nie przyniósł poznańczykom innego dochodu. Powinni oni przeto wziąć rozwód z partyą centrum i pozostać nadal w stanie swobodnym, przy polityce „wolnej ręki," która im pozwoli, zależnie od potrzeby, zawierać rozmaite przymierza a głównie łączyć się z innem, przeciwnem stronnictwem — postępowem. Ofiarowało ono im kilkakrotnie wymianę usług. Grupa ta wyznaje szczerze zasady liberalne, których konsekwentnie strzedz musi również względem Poznańskiego, energicznie i umiejętnie walczy z obecnym systemem rządów pruskich a nadto w postępowaniu swojem nie ma tyle handlarstwa, co ultramontanie niemieccy. Nadprują oni sobie szaty z żalu nad polskimi współwyznawcami, ale gdy ich interes będzie tego wymagał, poświęcą ich i porzucą bez namysłu. Windhorst wypowiedział już niejedną mowę w obronie uciśnionych, współczucie wszakże swoje regulował zawsze względami dyplomacyi. Richter nie zawiera nigdy układów, nie prowadzi handlu parlamentarnego, jest człowiekiem zasad. Dotąd Koło polskie poprzestawało na grzecznych dla postępowców ukłonach, o wspólnym z nimi pochodzie, o zawieraniu doraźnych układów nie myślało a według nas musi o tem pomyśleć i wyręczyć Boga w staraniach około własnej skóry. Niepodobna niebu przekazywać tej „reszty."

W tygodniu bieżącym sejm pruski wyjdzie z nowych wyborów. Przedstawicielstwo polskie zapewne powróci bez wielkich zmian ilościowych i jakościowych. Czemuż i bez jakościowych! „Taka polityka — mówił do p. Domarata jeden z nieżyjących posłów polskich — jest niemożebną, bo nie mamy na to ludzi. Skąd weźmiemy takich Eugeniuszów Richterów, którzyby potrafili nietylko krytykować rząd, ale wogóle w sprawach państwa mówić z sensem." Niestety, jest to prawdą a w niej zamyka się cała tajemnica dotychczasowych niepowodzeń. Niema ludzi — co więc pomogą wszystkie rady, wskazówki, nagany, dyagnozy i recepty? Najlepsza estetyka nie stworzy poety lub rzeźbiarza. Więc może zanim Poznańskie rozpocznie współpracować z niemcami w sejmach, zanim zmieni taktykę, zanim wejdzie w związki parlamentarne, niech wprzódy poszuka u siebie Richterów? Niewątpliwie byłoby to zadaniem pierwszem, gdyby ci Richterowie rodzili się między „dzierżawcami rozumu politycznego" i gdyby on nie był zamknięty w monopolu „mężów zaufania," którzy umieją tylko pozować.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zasłaniano i zatykano dziury, któremi tajemnica wyciekała, ale wszystko to nic nie pomogło. Dziś już cały świat wie, że papież-dyplomata srodze zawiódł się na cesarzu niemieckim, który o jego władzy świeckiej nawet mówić nie chciał. Może zresztą byłby o niej pogadał, ale jak na złość jego brat, ks. Henryk przyjechał i wszedł do sali. Ulżył nieco gniewowi papież w przemowie do pielgrzymów neapolitańskich, wyraziwszy swą zgrozę z powodu owych toastów na cześć „stolicy Włoch." Według papieża jest to paskudne bluźnierstwo: Rzym bowiem nie jest stolicą jakichś tam Włoch, lecz całego świata katolickiego. Po odjeździe Wilhelma II porwano i potargano w Watykanie mozolnie tkany adamaszek dyplomatyczny z herbami niemieckimi i postanowiono na krosnach rozpiąć nowy postaw dla Francyi. Naturalnie pierwszy ten poryw wkrótce opadnie. I z tej bowiem strony trudno oczekiwać hufców zbrojnych, przybywających z odsieczą „dobrowolnemu więźniowi." Mara tej nadziei mogłaby wtedy jedynie zarysować się nieco wyraźniej, gdyby Rzeczpospolita przegrała proces z monarchistami i wróciła znowu pod opiekę tronu. Kto wie zatem, czy do tego procesu papież nie zacznie się mieszać i w cudzym ogniu piec swoje kasztany. Wznioślej zaś roli rozbicia swej ojczyzny i wytworzenia przeciw niej wrogiego sojuszu wcale on się nie zrzeka. Piękna robota—godna „namiestnika Chrystusowego!"

Komisya parlamentarna, wezwała Boulangera, ażeby jej przedstawił swój plan rewizyi konstytucyi. Daremnie w regulaminie i zwyczajach Izby szukaliśmy podstawy do tego wykładu; był on więc chyba jakiemś ustępstwem dla ulicy, rozkrzykującej ochrypłemi gardłami chwałę warchoła. I w tym wypadku okazał on się tem, czem był zawsze dopuszczony do słowa: głupim kosem, powtarzającym bezmyślnie ułamek melodyi, zegarem wygrywającym jeden kurant. Na zasadnicze pytania odpowiadał komunałami lub streszczał swą mądrość w zgłoskach przeczących i twierdzących. Ale ta nowa kompromitacya nie popsuła ani uczty na jego cześć, ani wesela jego córki, która z wieńcem mirtowym jechała konno przez ulice śród licznego zbiegowiska. Boulanger więc nie może upaść, bo go podtrzymują mocne ręce działaczów ukrytych po za jego plecami, którzy go kiedyś odrzucą na śmiecie, skoro przestanie już im być potrzebnym; ale niewątpliwie dopomaga mu też sam charakter francuzów, lekkomyślny, łaknący jaskrawych widowisk i błazeństw.

Rozwód króla Milana, wyrzeczony z pominięciem instancyj właściwych, jedynie mocą wyroku metropolity, po za kołem sympatyi dla władcy serbskiego, wywołał bądź ostrą krytykę prawną, bądź potępienie. Ale dla zatarcia złego wrażenia przygotowano zawczasu bardzo dowcipny środek: król nakazał nowe wybory, których swobodę „poręczył słowem" a które mają powołać

Bitwa pod Sadową.

Z pamiętników Fryderyka III.

Dnia 3 lipca 1866 r. W nocy padał duży deszcz. O świcie wysłałem rozkazy, skutkiem których korpusy powinny wyruszyć o 8½ rano. O tej godzinie połączyłem się z gwardyą i odbyłem z nią nadzwyczaj uciążliwy marsz śród ulewy przez strome wybrzeża Elby i leżące za niemi góry. Rozmiękłe drogi wstrzymywały i utrudniały pochód wszystkich wojsk. Nie wierzyłem w możliwość większego przedsięwzięcia, bo nie sądziłem, ażeby austryacy, zwróceni tyłem do Elby, przyjęli bitwę. Od czasu do czasu jednak słyszeliśmy zdala strzały armatnie. Nakoniec zajęliśmy punkt najwyższy, który leżał mniej więcej w miejscu wczoraj przez nas badanem. Wtedy stało się dla nas jasnem, że istotnie toczy się poważna walka artyleryi, wyraźnie bowiem odróżnialiśmy huk dział naszych i nieprzyjacielskich. Marsz na równinie przesiąkłej wodą był nadzwyczaj mozolny.

Przybyło doniesienie: gen. Franzecki stoi z 7 dywizyą nieopodal naszego prawego skrzydła, znajduje się w trudnem położeniu i prosi o wzmocnienie go armatami. Natychmiast wysłano rezerwę artyleryi i gwardyę.

Pod wsią Zizeloves przednie szeregi gwardyi posunęły się w kierunku na Masloved; po trzech kwadransach ich baterye, zająwszy stanowisko z tej strony, zaczęły strzelać. Zdawało się, jak gdyby na naszem prawem skrzydle ogień wzrósł, a zarazem jakobyśmy posunęli się naprzód. O pół godziny drogi przed nami, na wyżynie wsi Horenoves, stało olbrzymie odosobnione drzewo: wskazałem je wojsku jako cel pochodu, gdyż właśnie tam znajdowała się część nieprzyjacielskiej artyleryi, której pociski tu i owdzie szczerbiły szeregi pierwszej armii. Czasami przestawano tam strzelać, lecz wnet zaczynano ponownie i jak gdyby wypierano naszych ze stanowiska. Wolnym krokiem posuwał się korpus gwardyi, a mianowicie druga dywizya, gdyż musiano iść jedną drogą, zamiast dla oszczędzenia czasu i miejsca iść kolumnami. Nasza przednia straż posuwała się wolno na pole bitwy; ogień zaś działowy, bijący w nasze prawe skrzydło, milknął i cichł. Raz jeszcze baterya nieprzyjacielska, stojąca przy owem wielkiem drzewie, huknęła gwałtownie; później nastała cisza, nieprzyjaciel spostrzegł zapewne, że go otaczamy. Z chwilą wejścia na równinę, zwłaszcza przy Zizeloves, wiedziałem natychmiast, co mam robić: zaczepić nieprzyjaciela z prawego boku i rozbić go. Zachęcałem do tego każdy defilujący przede mną oddział. Zrozumiano moje zamiary, jak o tem świadczyły wychodzące z szeregów zuchwałe odpowiedzi.

Było to już koło pierwszej. Gen. v. Matias musiał widocznie zaczepić tyły prawego skrzydła nieprzyjacielskiego, gdyż w ciągu dalszego posuwania się ku owemu drzewu, jakkolwiek nie widziałem 6 korpusu, słyszałem strzały na lewem skrzydle. Ziemia była okropną przeszkodą do szybkiego pochodu, a koniom odrywała podkowy; nigdzie nie można było znaleźć odpowiedniej wyżyny do rozejrzenia się, mgła zaś tak błąkała w mierzeniu odległości, że wielkie drzewo nie chciało się przybliżyć.

Przenoszono około nas rannych, wokoło leżeli zabici, na prawo paliło się kilka wsi jasnym płomieniem; w ich stronie grzmiał ustawicznie ogień działowy. Oglądaliśmy się często za pierwszym korpusem, który wprawdzie miał do przejścia dwie i pół mili drogi, o godzinie drugiej jednak powinien był stanąć na polu bitwy. Major von der Burg spotkał go wprawdzie, lecz przyniósł niepocieszającą wiadomość, że gen. v. Hartmann stoi z dywizyą jazdy po za pierwszym korpusem i nie może ruszyć się

przedstawicieli narodu do rozpatrzenia i przerobienia konstytucyi; wielki ten akt ma być związany z pamiątką bitwy na Kosowem polu. Trzeba przyznać, że zażegnanie burzy rozwodowej było nader zręcznem.

Cesarz Wilhelm po powrocie z podróży wybuchnął gniewem. Przyjmując deputacyę miejską Berlina, która przybyła z powitaniem go i ofiarowaniem fontanny pamiątkowej, wyraził wielkie niezadowolenie, że prasa pozwalała sobie rozbierać jego stosunki rodzinne z taką swobodą, jakiej nie ścierpiałby żaden człowiek prywatny. Co miał na myśli — dotąd pozostaje zagadką. Niepodobna bowiem, ażeby skarcił dzienniki konserwatywne, które głównie i niedyskretnie grzebały w tajemnicach domu cesarskiego i którym przecie przewodniczy organ kanclerski. Postępowe broniły tylko Fryderyka III, który stał się pastwą całego gniazda gadzinowców.

Prof. Geffken siedzi ciągle w więzieniu a nawet śledztwo w jego sprawie jeszcze nieskończone, gdyż ciągle odbywają się nowe rewizye. Rzecz szczególna, ks. Bismark w swem objaśnieniu oświadczył publicznie, że ojciec obecnego cesarza, jako następca tronu był trzymany zdala od spraw politycznych, gdyż przez swój związek z dworem angielskim nie przedstawiał rękojmi bezpieczeństwa dla tajemnic państwowych. Czy oświadczenie to nie było rozbiorem stosunków rodzinnych, którego nie dopuściłby się żaden człowiek prywatny? Przypuśćmy tylko, że w ten sposób odezwał się publicznie dyrektor jakiejś fabryki o ojcu jej właściciela.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Straże ogniowe gminne i ochronki wiejskie.

Kiedy już miliony zginęły w ogniu, gdy zanadto rozmnożyli się pogorzelcy, zaczęto przebąkiwać o strażach ogniowych gminnych. Z tego powodu *Gazeta lubelska* podnosi bardzo słuszny projekt utworzenia instruktorów, czy inspektorów powiatowych, płatnych z funduszów wzajemnego ubezpieczenia ogniowego. Obowiązkiem ich byłoby tworzenie straży, oraz ścisła rewizya strychów i zabudowań we wsiach. Fundusze powyższe, zbierane corocznie, wynoszą w całej gubernii około 400,000. Z tego przy częstych pożarach, powstających z nieostrożnego obchodzenia się z ogniem i nieumiejętnego ratunku, oszczędza się corocznie kilkadziesiąt tysięcy rubli i fundusze zapasowe, umieszczane w kantorze Banku państwa około 260,000 rs. Zaprowadzenie narzędzi ratunkowych w 144 gminach gubernii lubelskiej, licząc na każdą po 300 rs., kosztowałoby rs. 43,200. Z tej sumy daloby się jeszcze sporo zaoszczędzić na istniejących już sikawkach, bosakach, beczkach z wodą (chociaż łatwo psujących się). Wydatek na narzędzia byłby jednorocznym, którym — zdaniem *Gaz.* — nie należałoby obciążać ani włościan, ani mieszczan, gdyż wszelkie ulepszenia, pociągające za sobą nowe opłaty, zniechęcają tych ludzi. Utrzymanie roczne w gubernii instruktorów ogniowych (po 600 rs. każdemu) wynosiloby 6,000 rs. Poprawka narzędzi i nagrody dla kierowników straży — ogółem 7,200 rs. Dalej: 800 rs. na nagrody dla inspektorów, zakup drzewek do obsadzenia niemi chałup, wydatki nieprzewidziane. Tym sposobem ogólna suma urosłaby do 14,000 rs., co ani funduszów nie zachwieje, ani mieszkańców nie obciąży nowym wydatkiem. Projekt ten mniej więcej w takiej samej formie możnaby zastosować do wszystkich gubernij Królestwa. Ze względu zaś na to, iż nie wymaga żadnego zasiłku ze skarbu, dałby się szybko wprowadzić w życie. Właściciele nieruchomości, składający stałe opłaty na ubezpieczenia, tworzą fundusz, do którego mają prawo, za zgodą więc ogólną i władzy mogą nim rozporządzać. Na instruktorów należałoby wybierać ludzi inteligentnych, mających wpływ w okolicy danej.

Wiadomo, że większość pożarów po wsiach powstaje wskutek zostawiania samopas dzieci w mieszkaniach lub na podwórzach. Najczęściej ci niepoczytalni podpalacze giną także w ogniu. Jedynym środkiem zaradczym mogą tu być tylko ochronki wiejskie, których dotąd nigdzie jeszcze niema, chociaż myślano o nich już dawno. Dopiero w ostatnich czasach, z powodu ciągłych pożarów w Łęczyckiem, naczelnik tamtejszego powiatu polecił wszystkim wójtom gmin, aby w każdej wsi wybrano odpowiednią obszerniejszą izbę w celu zgromadzenia do niej dzieci rodziców zajętych robotami polnemi i wogóle po za domem. Każda z takich ochronek będzie pod dozorem zasługującej na zaufanie kobiety. Może za tym przykładem pójdą inne powiaty i gubernie.

Praca i etyka szlachecka.

P. Aleksander Jelski nie przestaje chłostać swych braci i budzić ich z uśpienia. W ostatniej korespondencyi (*Gaz. roln.*) zastanawia się nad apatycznem zachowaniem się *naszego* żywiołu wobec zabiegliwości innych. Czemu by to — woła — nasi panicze, zbyteczni przy warsztacie domowym, nie mogli się wziąć, bez fałszywego wstydu, szczerze do handlu i przemysłu w miastach? Byłoby to wielkie ułatwienie dla rolników w zbyciu surowych produktów i wszelkich przeróbek wprost w pierwszą rękę „najżyczliwszą.“ Giniemy rozbici na jednostki błąkające się bez stanowiska i zawodów praktycznych, a jednego tylko potrzeba: *chcieć* i *umieć* pracować, nie na świeczniku blichtru i służalstwa. Żyd da córce lub synowi kilkaset rubli wyposażenia, a te drobne sumki stokroć się powtarzają w ich ręku. U naszych zaś paniczyków — topnieją tysiące. A jak topnieją? W domach obywatelskich pod dowództwem gospodyń szerzy się karciarstwo. To straszne rzeczy odkrywa *szlachcic* w piśmie wyłącznie *szlacheckiem*. Nie ukrywamy już starannie swych chorób i ułomności, a więc może z czasem będziemy mogli choć w części się uzdrowić. Szkoda tylko, że organy obywatelskie, jeśli wytykają błędy „przodujących“ w narodzie, załatwiają się ogólnikowo, a nie piętnują otwarcie pojedynczych faktów, jak np. licytowanie bratadłużnika przez brata-wierzyciela i to w sposób o wiele doskonalszy od osławionego *żydowskiego*: Obywatel ziemski przy pomocy komornika sprzedał zboże ze słomą, inwentarz, wszelkie sprzęty i wszystek drób. Naznaczywszy następnie w ciągu ośmiu dni licytacyę, sam wyprzedał wszystko żydom, a czego ci nie kupili, zabierał na fury. Pokrzywdzony żądał sądu polubownego, ale brat stanowczo nie chciał na to przystać. Działo się to w Tomaszowskiem.

Z. P.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Środki rozwoju drobnego przemysłu rolnego.

Obecnie ministeryum skarbu rozstrzyga nadzwyczaj ważną dla całego państwa sprawę podniesienia przemysłu wiejskiego. Zasadniczą myślą jest rozszerzenie zakresu działalności istniejących już t. z. „ziemstw,“ które dotąd wogóle niewiele zrobiły. Chodzi głównie o drobnych wytwórców rolnych, rządzących się w gospodarstwie na oślep (całe masy włościan). W tym kierunku zrobiono już bardzo wiele w gub. permskiej.

---

z miejsca z powodu nierozwiniętych w jeden front kolumn. Nakoniec przecież ukazały się pierwsze szeregi piechoty, całą moją armię przeto miałem już zgromadzoną.

Gen. v. Steinmetz, który dzisiaj stanowił wraz z piątym korpusem rezerwę, otrzymał rozkaz postępować tuż za korpusem szóstym; spotykam więc jego oddziały, piechotę i jazdę. Uwiadomiłem je o ważności dnia dzisiejszego, o obecności króla i jego osobistem dowództwie, w zamian zaś powitały mię grzmiącymi okrzykami: „hurrah!“

Gen. Blumenthal, skoro usłyszał ów silny ogień działowy, natychmiast oświadczył, że jest to walna i rozstrzygająca bitwa; każdy kwadrans sprawdzał te słowa coraz więcej. Posuwanie się mojej armii osłabiło nieprzyjaciela na prawem skrzydle i pozwoliło pierwszemu korpusowi wystąpić zaczepnie. Od chwili, jak wkroczyłem na pole bitwy, posuwaliśmy się ciągle naprzód, ale niebawem nadbiegła wieść, że tylko co przed naszem przybyciem dano rozkaz odwrotu, gdyż mimo długiej i uciążliwej walki pierwsza armia nie zdołała przechylić zwycięztwa na swą stronę.

Doszliśmy wreszcie do owego sławnego drzewa, które właściwie składało się z dwu lip i olbrzymiego wśród nich krzyża. Lecz i tu nie widzieliśmy tuż przed nami z zaciętością toczonego boju, gdyż zasłaniały go przed naszym wzrokiem coraz to nowe pagórki. Właśnie znajdowałem się w blizkości dwóch batalionów gwardyi pułku imienia królowej Elżbiety, gdy wtem ukazali się rozbici jezdcy austryaccy, którzy lecieli ku nam. Jedna z naszych kompanij, dość blizko stojąca, poczęła strzelać i wybiła ich co do jednego; tylko opuszczone konie błąkały się po błoniu.

Dojrzeli je gwardyjscy huzarzy, popędzili tedy szparko ku nim i połapali. Wtedy wypadł znowu na nas znaczny oddział jazdy. Nic mogłem poznać, czy to dragoni, czy kirasyerzy, gdyż jedni i drudzy noszą białe płaszcze. Już chciałem wjechać w środek jednego z batalionów, gdyby było trzeba formować czworobok, lecz i tu okazała się wkrótce skuteczność naszych iglicówek, które odwróciły od nas niebezpieczeństwo.

Na wyżynie pod Masloved, gdzie spotkałem mnóstwo trupów i ciężko rannych austryaków wszelkiej broni, otrzymałem raport, że pułkownik v. Obernitz, ranny w głowę, leży w zabudowaniach poblizkich.

Natychmiast pospieszyłem do niego i znalazłem go tylko lekko draśniętym, ale obok leżał porucznik v. Strantz z pierwszego pułku gwardyi pieszej, któremu kula urwała kilka palców prawej ręki. W tychże zabudowaniach spoczywali nasi i austryaccy ranni całemi gromadami; nie mogłem przecież zatrzymywać się przy nich, gdyż dzisiaj wszystkie myśli i dążenia należało skierować ku nieprzyjacielowi. Obernitz mówił, że był w niebezpieczeństwie dostania się do niewoli.

Kilka granatów pękło tuż obok nas; już to trzeba przyznać, że artylerya austryacka strzela przewybornie, gdyż pociski padały ciągle na jedno miejsce.

Ćwierć mili przed nami na najwyższej wyniosłości widniała wieś Chlum; ogień rotowy, krzyki idących do ataku i strzały piechoty brzmiały kolejno. Widocznem było, że tam toczy się najzawziętsza walka. Biła się gwardya; chociaż nie otrzymałem jeszcze wiadomości, przypuszczałem przecież, że druga dywizya gwardyi już obeszła Masloved. Wtem przybywa w porę z pomocą gwardyi w Chlumie przednia straż korpusu, składająca się z mojego wschodnio-pruskiego pułku grenadyerów i z piątego wschodnio-pruskiego pułku piechoty nr. 41. Pomoc ta nadeszła w bardzo krytycznej chwili. Z ową przednią strażą posłałem Eulenburga, by jej dokładnie wskazywał drogę marszu.

Generał-lejtnant von Boyen nadbiegł od króla z Sadowy; pół mili po rozmiękłych bezdrożach pędził on galopem, aby ostrzedz mię o konieczności zdobycia i zatrzymania Chlumu. Zdawało się bowiem, że jej nie

Ze względu na to, iż prawie nikt u nas nie wie o działalności tamtejszych ziemstw i że dalszy rozwój tej sprawy w całem państwie będzie się wzorował na nich, zobaczmy, jak się zaznaczyła działalność agronomiczna w tej prowincyi. W r. 1875 otwarto w Krasnoufimsku szkołę realną; w r. zaś 1880 dodano tam oddział gospodarstwa wiejskiego. Głównem zadaniem zakładu jest przygotowywanie młodych ludzi do działalności praktycznej w zakresie rolnictwa. Szkoła wydała spory zastęp ludzi, którzy zdołali poznać wszystkie miejscowe warunki. Utworzyli oni t. z. instytut dozorców agronomicznych. Obowiązkiem ich jest zbierać dane o warunkach życia ekonomicznego ludności wiejskiej, tudzież nieść jej wszelką możliwą pomoc przy udziale materyalnym ziemstwa. Szkoła krasnoufimska nie poprzestaje na przygotowywaniu owych dozorców. Ma ona wyższy nadzór nad ich czynnością. Odbywają się tam zjazdy doroczne wychowańców, w celu porozumiewania się wzajemnego co do działalności jednomyślnej, zdawania sprawy z owoców pracy i doświadczeń praktycznych. W każdym trudniejszym wypadku dozorca zwraca się do szkoły o radę, która chętnie jest udzielaną nawet osobom prywatnym i różnym instytucyom z innych gubernij. Tak więc, oprócz zapytań, zakład otrzymuje wszelkie okazy owadów i robaków szkodliwych, wypróbowane sposoby walki z niemi, próbki gleby i ulepszenia, nasiona itp. Tym sposobem zakład naukowy jest zarazem doświadczalną stacyą agronomiczną. Członkowie tej instytucyi wiele doznali trudności w zwalczaniu ciemnoty ludu, który wszystko przyjmował z niedowierzaniem. Tak np. proponowano młócenie zboża za pomocą maszyn, ofiarowywano *bezinteresowne* roboty na polach włościańskich, bezpłatne użytkowanie maszyn i narzędzi. Nie nęciło to jednak włościan ciemnych; ale niezrażeni działacze zdołali z czasem wszelką niechęć i przesądy przełamać. Dziś włościanie tamtejsi chętnie nabywają lub najmują narzędzia ulepszone, które z początku wyrabiała sama szkoła, obecnie zaś oddała je w ręce miejscowych drobnych przedsiębiorców. Każdy wiejski rynek już je sprzedaje. Jak dalece są wykształceni fachowo dozorcy agronomiczni, dowodzi tego wielka pewność i dokładna znajomość obejścia się z najdrobniejszymi szczegółami w gospodarstwie. Każdy z nich umie wykonać najprostsze i najzawilsze roboty, poczynając od orki zwyczajnym pługiem do rozebrania i złożenia najbardziej skomplikowanych maszyn. Powyższa instytucya rolna wraz z wszystkimi jej pracownikami ma doniosłe znaczenie z tego względu, iż oparta jest na doświadczeniu i badaniu według najnowszych wyników nauki. Jeśli na wzór tego zakładu powstaną w całem państwie, z tą samą wytrwałością pracowników, to można będzie wróżyć świetną przyszłość drobnemu przemysłowi rolnemu. Prócz gub. permskiej, w innych miejscowościach działalność samych tylko ziemstw jest bardzo blada, może w części dlatego, że nie pomyślały o takim zakładzie, jak krasnoufimski. Podczas gdy większość ziemstw nie umiała zdać sprawy z celu swego istnienia, te tylko nieliczne, w których przeważają przedstawiciele włościan, troszczyli się o los siermiężnych wytwórców. Urządzano odpowiednie muzea, komitety, słowem poruszano się nieco przynajmniej w kierunku przygotowawczym. Jeden tylko komitet permski znacznie się wyróżnił. Owocem jego zabiegów było utworzenie banku dla drobnego przemysłu rolnego. Kapitał wynosi obecnie 90 tysięcy rubli, ma zaś prawo rozszerzyć się do miliona. Celem komitetów powyższych jest: zbadanie potrzeb ludności, pośredniczenie przy sprzedaży wyrobów i nabywaniu materyałów, organizowanie gromad („arteli“) roboczych i t. d.

Postanowienia Towarzystwa Kredytowego.

Po wprowadzeniu nowej ustawy Towarzystwa kredytowego ziemskiego, dyrekcya główna wydała dwa bardzo ważne postanowienia. Dla obostrzenia środków egzekucyjnych prawo z r. 1869 orzekło, iżby dobra zalegające w opłacie raty więcej niż dwa miesiące, były ogłaszane w ciągu trzeciego jako zajęte na sprzedaż. Skutkiem tego układano co pół roku (w marcu i wrześniu) długie listy dóbr wrzekomo wystawianych na licytacyę za zaległości. Liczba takich majątków dochodziła nieraz do 3,000, a ogłaszanie ich w pismach alarmowało w kierunku szkodliwym dla kredytu rolników pojedynczych. Środek ten, po wielu latach, nie przyniósł najmniejszej korzyści Towarzystwu, jako postrach bezcelowy. Otóż postanowiono znieść ten zwyczaj na zawsze, poczynając od bieżącego półrocza. Drugie postanowienie dotyczy zmiany wysokości kar pobieranych od stowarzyszonych, zalegających w opłacie rat. Według dotychczas obowiązującego przepisu, za pierwszy miesiąc zaległości kara wynosiła ½%, następnie do czasu zapisania w hypotece ostrzeżenia o wystawieniu dóbr na sprzedaż (w szóstym miesiącu) — 1% miesięcznie. Według nowego postanowienia, kara będzie pobieraną w wysokości ½% przez cały czas zaległości. Przepisy te dyrekcya wprowadziła od 13 października r. b.

Drogomir.

BADANIA NAUKOWE.

KRYMINOLOGIA.

W łamach *Prawdy* już kilkakrotnie wymieniano imię włoskiego uczonego, R. Garofala. Lecz za każdym razem poddawano rozbiorowi jedynie jakąś ułamkową cząstkę jego doktryny — bądź tylko teoryę przestępstwa naturalnego, bądź zastosowania praktyczne. Korzystając z ukazania się obecnie w języku francuskim zgoła nowej przeróbki najważniejszej pracy tego socyologa — *Kryminologii*, pragniemy przedstawić całokształt jego poglądów. Nim jednak to uczynimy, powiemy słów kilka o ogólnym charakterze jego wywodów. Jak wiadomo, usiłuje on zreorganizować prawodawstwo kryminalistyczne odpowiednio do rezultatów badań Lacassagne'a, Lombrosa i in. nad przestępcami. Lecz wszyscy oni stają na gruncie przyrodniczym. W ich oczach przestępca jest szczególną odmianą gatunku „homo;“ poszukują jedynie charakteryzujących ją znamion fizycznych i duchowych. Badania te prowadzone są przedmiotowo; wyznanie wiary społeczno-politycznej nie może tu wywierać najmniejszego wpływu. Tymczasem praktyczne zastosowania dotyczą już bezpośrednio społeczeństwa i jego urządzeń. Poglądy autora muszą z konieczności odcisnąć swe piętno. Wskutek tego, lubo rezultaty, otrzymane przez antropologię kryminalną, zostały uznane przez wyobrazicieli różnych prądów, lecz oparte na nich żądania przybrały najzupełniej odmienną postać stosownie do ich stanowiska. Z jednej strony rzecznicy głębokich reform ekonomiczno-społecznych (Colajanni we Włoszech, Létourneau we Francyi), przyjmując istnienie szczególnej, zbrodniczej odmiany gatunku „homo,“ oświetlili powstawanie tego rodzaju okazów jako wynik stosunków życia zbiorowego. Wychodzą oni z założenia, iż nowoczesne warunki społeczne szczególniej sprzyjają wylewowi zbrodniczych popędów oraz zwyradnianiu

---

opanujemy. Ale właśnie przybył w sam czas, aby naocznie przyjrzeć się ostatecznemu zdobyciu jej. Równocześnie przypędził i major von Grävenitz z ósmego pułku huzarów, adjutant pierwszego korpusu armii z raportem, że Chlum zajęła przednia straż owego właśnie korpusu. Rzeczywiście musiał wycofać się z Chlumu jeden z nader zmęczonych i wyniszczonych oddziałów piechoty, który początkowo uważałem za wzięty do niewoli; byli tam i jeńcy, lecz oddział ów posuwał się pod zasłoną pagórków na prawe skrzydło Chlumu, mniej zagrożone, choć jeszcze ostrzeliwane.

Właśnie w tej chwili przybył środek pierwszego korpusu; uciążliwy pochód wskutek niepogody i innych przeszkód nie odbył się w należytym kierunku na Chlum.

Sam udałem się do pierwszego korpusu i skrzydłowemu batalionowi wskazałem kierunek ataku. Podczas mego powitania tych wojsk wschodnio-pruskich granaty padały wokoło. Wzniosła to była chwila!

Stamtąd pojechałem na wyżyny Chlumu. Po drodze spotkałem świeżo rozpoczęte przez austryaków okopy, które świadczyły o zamiarze ich utrzymania stanowiska; dalej na stromych wyżynach Chlumu stały dwie opuszczone pruskie czterofuntówki. Tuż obok bateryi, dającej jeszcze ognia, otoczony moim pułkiem grenadyerskim, rozejrzałem się po trzymilowem polu bitwy. Wówczas to nabrałem przekonania, że zwycięztwo jest w naszych rękach, nieprzyjaciel zaś cofa się na całej linii.

Takiej chwili nie można opisać, trzeba ją samemu przeżyć. Gorące dziękczynienia wznosiły się ku niebu; szybko jednak trzeba wniknąć w położenie, wszędzie rzucić okiem, liczyć i rachować, wszędzie bacznie pilnować i strzedz. Nie można nawet rozglądać się po pobojowisku, usłanem ciałami zabitych i rannych, ciałami drogich przyjaciół, których niedawno widziałem jeszcze zdrowymi i pełnymi życia. Pod naszemi stopami wrzał bój o Rosberitz; była przecież w ogniu już tylko tylna straż austryacka. Z lewej strony Boyen i jego szósty korpus mieli jeszcze robotę, zwłaszcza że teraz zaczęły się odzywać i działa forteczne.

Niebo tu i owdzie rozjaśniło się, promienie słońca oświecały krwawe pola. Właśnie zawiadomiono mię o bohaterskiej śmierci generał-lejtnanta von Hillera i jego drugiego adjutanta v. Theissena z czwartego pułku gwardyi pieszej, który wiele rokował nadziei; w uczuciu boleści nad tylu stratami usłyszałem okrzyki. Sądziłem, że przyjeżdża król. Był to przecież Fryderyk Karol.

Już zdaleka powitaliśmy się czapkami, wreszcie padliśmy sobie w objęcia wśród okrzyków żołnierzy mego prawego i jego lewego skrzydła. Razem ze wszystkimi na cześć naszego króla krzyknąłem: „hurrah!“ I takie powitanie trzeba samemu przeżyć! Przed dwoma laty ściskałem go pod Düppel jako zwycięzcę, dzisiaj zwyciężaliśmy obaj, i ja właśnie z moją armią, po ciężkiej walce jego wojsk, rozstrzygnąłem bitwę.

Myślą byłem teraz przy żonie, dzieciach, matce i siostrach. Stanął mi przed oczami mój mały, zmarły Zygmunt, jak gdyby jego śmierć była zapowiedzią wielkich wypadków w mem życiu. Lecz zwycięztwa nie wynagradzają straty dziecka; raczej z pod tych potężnych wrażeń dopiero wydobywa się rozdzierająca boleść.

Lecz w tej chwili przypomniałem sobie, że to nie czas oddawać się jakimkolwiek marzeniom, że wszystkie myśli należy skierować ku pokonanemu nieprzyjacielowi i umiejętnemu wyzyskaniu odniesionego zwycięztwa. Oświadczyłem też adjutantom, że przedewszystkiem trzeba ścigać austryaków i posłałem Jasmunda do Steinmetza, by rozpoczął pogoń. Taki sam rozkaz otrzymał drugi pułk huzarów, który tylko co stanął na wyżynach Chlumu. Kazałem również rotmistrzowi, hr. Rödern i gen.-majorowi von Borstell zanieś polece-

duchowemu. Z drugiej strony inni, jak Garofalo, chcieliby sprowadzić do minimum wpływ okoliczności ekonomicznych i całą winę złożyć na ukształtowanie psychiczno-uczuciowe zbrodniarza. Dochodzą nawet do tego, iż przeczą wszelkiemu oddziaływaniu nędzy. Wówczas kiedy pierwsi skłaniają się ku porównaniu obecnych stosunków społecznych z wywarem mięsnym, sprzyjającym ukazaniu się mikrobów, ostatni dowodzą, iż popędy zbrodnicze wystąpiłyby i bez tego. Wogóle zauważymy, iż w wywodach wspomnianego kryminologa włoskiego żywioł prawniczy przeważa niezwykle, wraz z nieodłączną ciasnotą widnokręgów. Wskutek tego jego żądania stoją niżej zapatrywań Lombrosa i nawet Ferriego. Kiedy ten ostatni w wytwarzaniu zbrodni przypisuje wielkie znaczenie różnym instytucyom i urządzeniom społecznym i zgodnie z tem przedstawia szereg odpowiednich środków zapobiegawczych (np. urządzenie tanich mieszkań, wydanie normalniejszego ustawodawstwa co do małżeństwa i dzieci naturalnych, wprowadzenie łaźni publicznych, ćwiczeń gimnastycznych, zabronienie nieobyczajnych wydawnictw, odpustów i pielgrzymek, zniesienie bezżeństwa księży itd.), Garofalo niemal zupełnie odrzuca wpływ wszelkich tego rodzaju reform i całą działalność ochronną ze strony państwa ogranicza do — dobrej a sprężystej policyi, należytego wymiaru sprawiedliwości, wreszcie do oddziaływania, i to pośredniego, na publiczne kształcenie moralne. Możemy jeszcze raz jeden przekonać się o tej dla nas niezbitej prawdzie, iż umysł przyrodniczy zwykle wnika głębiej w istotę społeczeństwa, aniżeli prawniczy.

Przystąpimy teraz do wyłożenia przedmiotowego poglądów Garofala. Jak czytelnikom *Prawdy* już wiadomo, opiera się on na wynikach poszukiwań antropologicznych nad typem przestępczym. Wprawdzie badania te nie zdołały jeszcze sformułować właściwych znamion fizycznych zbrodnictwa — wywodom np. Lombrosa przeczą uogólnienia, otrzymane przez innych pracowników na tem polu. Atoli ustalono już jedno i to najważniejsze, mianowicie, iż wśród przestępców wszelkie odchylenia i zboczenia fizyczne są częstsze i liczniej z sobą zespolone, aniżeli u ludzi zwykłych. Cokolwiekbądź jednak, przy zastosowaniu do praktyki tego rezultatu, tj. istotnej obecności typu zbrodniczego, napotkano ważną przeszkodę. Nie w każdym przestępcy antropologów odnajdujemy człowieka, którego prawo uznałoby za winowajcę. W ten sposób pojęcia: zbrodniarza z punktu widzenia antropologii kryminalnej a zbrodni ze stanowiska kodeksu nie przystają do siebie. I otóż *Kryminologia* stawia sobie za najpierwsze zadanie oznaczenie t. z. przestępstwa naturalnego, co odpowiadałoby wynikom wspomnianych badań antropologicznych. Lecz jak je określić? Czyż przez wskazanie czynów, które wszędzie i zawsze uchodziłyby za kary godne? To jednak nie daleko by nas zaprowadziło. Postępki, uważane w jednych miejscach za godziwe, w innych są bezwzględnie potępione, jak np. dzieciobójstwo. Raczej wypada się zwrócić w innym kierunku, mianowicie zająć się zbadaniem stanów uczuciowych, wywoływanych przez różne uczynki. Gdziekolwiek spojrzymy, znajdujemy człowieka żyjącym wśród społeczeństw. Atoli dla istnienia życia gromadzkiego niezbędnie winny istnieć pewne popędy moralne, oczywiście w różnym stopniu rozwoju, lecz to nie zmienia postaci rzeczy. Na czem wszakże one polegają? Aby na to odpowiedzieć, Garofalo z pod rozpatrywania zupełnie wyklucza pewne grupy ludzkości, o których można sądzić, iż są zupełnie niezdolne do dalszego rozwoju albo przedstawiają typy zwyrodniałe; nadto usuwa z pod uwagi jednostki wśród szczepów wyższych, odznaczające się niezwykłą delikatnością uczuć i poglądów. Uczyniwszy to, wyosabnia z pomiędzy popędów moralnych te, o których da się powiedzieć, iż są niezbędne dla życia społecznego, i bierze je bez wszelkich wyższych nawarstwowań, lecz przeciwnie w najniższej i najmniej wykształconej postaci. Będą to: współczucie względem bliźnich i uczciwość, tj. uszanowanie praw bliźniego, ale jedynie o charakterze biernym, polegającym nie na czynnym bronieniu interesów cudzych, tylko na nienaruszeniu ich. Takie popędy moralne są nieodzowne dla jakiegokolwiek społeczeństwa, i kto jest z nich ogołocony, w żaden sposób nie może przystosować się do współpożycia z innymi. W ten sposób przestępstwem naturalnem będzie każdy postępek, obrażający istniejące w społeczeństwie popędy współczucia i uczciwości ze szkodą dla jego członków. Dzięki temu pod pojęcie zbrodni naturalnej nie będą podchodziły różne przestępstwa polityczne, np. kontrabandy itd. itd.

Kto obraża istniejące w społeczności zasadnicze uczucia moralne, czyni to dlatego, iż sam ich nie posiada już wskutek zwyrodnienia i newropatyzmu, już dzięki szczególnego rodzaju ukształtowaniu uczuciowemu. O tem przekonywają rezultaty badań antropologicznych nad zbrodniarzami. Lecz istnienie znamion, właściwych zbrodniarzom, nie oznacza jeszcze bynajmniej, aby wszyscy przestępcy byli jednako pozbawieni podstawowych poglądów moralnych. Przeciwnie, mamy przed sobą całą galeryę. Jedni np. przedstawiają rodzaj obłąkańców, obdarzonych jakimiś dziwnymi a chorobliwymi pociągami już ku gwałceniu, połączonemu z pastwieniem się, już ku rozlewaniu krwi i kradzieży. Inni znowu są wolni od tego i odznaczają się jedynie tem, iż w swej naturze nie wykazują najmniejszego wstrętu na widok obrazy dla uczciwości lub współczucia. Jak spotykamy różne kaleki fizyczne, bądź bez palca u ręki, bądź bez całej ręki itd., tak samo mamy różnego stopnia braki moralne. Tem to wyjaśnić należy, iż Lombroso mógł odróżnić wśród fizycznego typu przestępcy trzy, Marro zaś — aż jedenaście kategoryj. Znajdujemy już ludzi pozbawionych jedynie współczucia, już innych — bez uczciwości. Słowem mamy całą hierarchię ukształtowań uczuciowych, bądź jakościowo, bądź ilościowo różniących się pomiędzy sobą. Uwidocznia się to nawet w fizycznym wyglądzie przestępców. „Znamiona anatomiczne częściej zdarzają się u wielkości, niż wśród gminu zbrodniczego“ (Benedikt). Z tego to hierarchicznego uszeregowania wypływa, że różne te kategorye w różny sposób wyładowują swą energię zbrodniczą. Ci już popełniać będą przestępstwo jedynie dla zaspokojenia własnych chuci lub dla zyskania określonych celów samolubnych, bez względu na samo otoczenie społeczne — są to jednostki, zupełnie nie przystosowane do życia gromadzkiego z jego potrzebami i obowiązkami; owi znowu, posiadając nie zupełnie rozwinięte poglądy współczucia lub uczciwości, mogą rzucić się na pole zbrodnictwa pod wpływem przesądów religijnych, społecznych itd. (np. fenianie, kamorryści, vandettyści) lub pod działaniem napojów odurzających, chwilowego podniecenia przez czynniki klimatyczne itd.

Wobec takiego stanu rzeczy nasuwa się pytanie, jak zabezpieczyć społeczeństwo od wyładowywania się podobnego rodzaju popędów. W tym względzie przedewszystkiem wypadałoby zwrócić uwagę na środki, zapobiegające powstawaniu i objawianiu się tego rodzaju natur. Przynajmniej niektórzy w ten sposób stawiają kwestyę. Garofalo również zatrzymuje się dłużej nad tem zagadnieniem, jakkolwiek rozwiązuje je w sposób przeczący. Przedewszystkiem zwraca się ku wpływom wychowania. Wątpi o ich

---

nie tej samej treści generałowi v. Hartmanowi.

Walka artyleryjska trwała dalej, zwolna przecież odsuwała się od nas. Nastała chwila ciszy, wśród której odbierałem raporty, jak również odwiedziłem rannych i wyszukałem kilku zabitych. Antoni Hohenzollern leżał ciężko ranny, hr. Dohna z batalionu wschodnio-pruskich strzelców spoczywał z przestrzeloną piersią tuż obok trupa Theissena, z którego zdjąłem szarfę i łańcuch dla rodziny. Dohna przesłał przeze mnie ostatnie pożegnanie ojcu i zdołał jeszcze powiedzieć, że wśród niesłychanego ognia austryaków ocalało tylko dwóch oficerów z całego batalionu.

Porucznika von Pape, jedynego syna naczelnego komendanta korpusu, przeniesiono obok mnie. Otrzymał trzy kule w piersi. Uściskałem tego młodzieńca, znanego mi od dzieciństwa, w imieniu jego ojca. Porucznik Loris zdał mi raport, że zdobył jedno działo.

Nigdy nie zapomnę poważnej twarzy oblicza Kessla w chwili, gdy zbierał rozproszony w Chlumie pierwszy pułk gwardyi. Od niego dopiero otrzymałem bliższe szczegóły; na prawo od nas siódma dywizya, a mianowicie pułki magdeburskie nr. 26 i 27 stoczyły ciężką walkę.

Naokoło nas leżało lub wlokło się wiele postaci, tak dobrze znanych z garnizonu poczdamskiego i berlińskiego. Godni politowania byli ci, którzy posługiwali się karabinem jako kulą, albo byli niesieni przez swych zdrowych towarzyszów. Najokropniej przecież wyglądała jakaś bateryа austryacka: wszystko, konie i ludzie, leżą wystrzelani. Tak co chwila zmieniały się najróżnorodniejsze wrażenia.

Przyniesiono rozkaz królewski, że generał v. Herwarth ma ścigać z ósmym korpusem nieprzyjaciela, wszystkie zaś inne oddziały spoczną na pobojowisku.

Po niespodziewanem spotkaniu wielkiego księcia v. Mecklenburg-Schwerin, o którego obecności w armii nic nie wiedziałem, objeżdżałem teraz wsie, aby zebrać cokolwiek szczegółów i odnaleźć króla. Rozmawiałem przez dłuższy czas z żołnierzami pułku piechoty nr. 27. Ci mówili mi zgodnie: „Wiedzieliśmy wszyscy, że książę dzisiaj przybędzie; ciężko i krwawo walczyliśmy w lesie pod Sadową, gdy nagle rozeszła się wieść: Nadchodzi — już jest. I nagle wszystko odmieniło się na dobre. Ale czas już był, żeby książę przyszedł.“

To jasne, a proste przedstawienie rzeczy zrobiło na mnie głębokie wrażenie.

W Rosberitz, gdzie toczono uporczywy bój, o ile wnosić można z olbrzymiej ilości zabitych i rannych i z palących się domów, znalazłem Antoniego Hohenzollerna z trzema kulami w nodze. Promieniował i wzruszająco naiwnie lekceważył sobie rany, życzył mi szczęścia i opowiadał, jak ze swym oddziałem dostał się w najstraszliwszy wir walki; wówczas to kazał szybko dawać rotowe salwy, został raniony i wzięty do niewoli. Już mu odbierano szablę, gdy nagle nasi go odbili. Położono go naprzód w jakiejś chłopskiej chałupie tuż obok umierających austryaków, później zaś przewieziono tutaj w wozie ambulansowym rycerzy zakonu św. Jana.

Objeżdżanie pobojowiska jest okropnem, a spotykanych skaleczeń niepodobna opisać. Wojna jest czemś strasznem, a ten, kto ją sprowadza jednem pociągnięciem pióra przy biurku, nie wie, co wywołuje.

Niespodziewanie spotkałem rannych z pułku piechoty nr. 51, a wśród nich kapitana Hiebo, niegdyś mego podwładnego z pułku nr. 11, postrzelonego w nogę. Ciężko ranny grenadyer z drugiego pułku gwardyi zawołał: „Ach, kochany panie następco tronu, każcie mię odwieść do lazaretu.“ Przewieziono obok mnie majora v. Erckarta z drugiego pułku gwardyi; podobno ranny bez nadziei utrzymania go przy życiu. Na moje zapytania odpowiadał bardzo słabym głosem. Następnie spotkałem kołobrzeskich

doniosłości. Nawet fakt, że wzrastające dzieci porzucają dawne nawyknienia i pociągi zbrodnicze, usiłuje wytłomaczyć nie wpływami wychowania, lecz znanem prawem Haeckla, iż organizmy wyższe w swym ontogenetycznym rozwoju przebiegają w skróceniu fazy przeszłości fylogenetycznej. Według niego, wpływ dziedziczności w ukształtowaniu charakteru jest dowiedziony, tymczasem o skutkach wychowania niepodobna nic stanowczego orzec. Żadne systemy pedagogiczne nie stworzą czego już nie ma; co najwyżej mogą osłabić jedynie wygórowanie popędów niemoralnych, i to jeżeli są stosowane od wczesnej młodości. Natomiast skłania się ku poglądowi, iż złe otoczenie z łatwością może wykorzenić dobre pociągi. Podobnież zapatruje się na działanie warunków ekonomicznych, chociaż w istocie rzeczy przyjmuje wręcz przeciwne stanowisko. Niema takich okoliczności, któreby stwarzały ujemne popędy — oto myśl, która snuje się po przez wszystkie rozumowania socyologa włoskiego. Co więcej, próbuje nawet dowieść, iż nędza dostarcza mniejszego zastępu zbrodniarzy, niż warstwy zamożniejsze. Głód i powodzie również nie potęgują zbrodni, lecz tylko przemieszczają jakość czynów — z małego przestępcy czynią wielkiego, z filuta i obłudnika — złodzieja. Słowem, warunki życia, trudniejsze lub łatwiejsze, powodują jedynie wcześniejsze lub późniejsze wyładowanie się przestępstwa. Natomiast wielką rolę przyznaje wszelkiego rodzaju postrachom — np. karom, obawom wywoływanym przez wierzenia religijne itd. Ostatecznie, jak widzieliśmy, po nad wszystkie środki zapobiegawcze stawia dobrą a sprężystą policyę, należyty wymiar sprawiedliwości i inne tego rodzaju recepty.

Jest to najsłabsza i zarazem najbardziej nosząca piętno klasowych uprzedzeń strona wywodów Garofala, strona, która zjednała mu słusznie zarzut kryminologa „mieszczańskiego," jak wyraził się Turati. Natomiast inna część, bo tycząca reform w prawodawstwie karnem odpowiednio do wyników antropologii kryminalnej, zasługuje na zupełne uznanie. Socyolog włoski zupełnie odrzuca różne metafizyczne probierze kary itd. Jego zdaniem, prawodawstwo karne winno mieć na uwadze tylko zabezpieczenie społeczeństwa od zbrodniarza, sądzić więc go nie według wielkości popełnionego czynu, lecz według rękojmi postępowania na przyszłość. Popełniający morderstwo w zemście inaczej winien być sądzony, niż ten, kto je spełnia wprost pod wpływem odpowiedniego pociągu do przelewania krwi. W ten sposób odpowiednio do hierarchii usposobień uczuciowych należałoby przeprowadzić odpowiednie zabezpieczenie społeczeństwa. Zbrodniarzy, przedstawiających niczem niepowściągnioną żądzę zbrodniczą, należałoby zupełnie usuwać za pośrednictwem kary śmierci; innych podających nadzieję przystosowania się—wywozić. Dla niektórych wystarczałoby przeniesienie, innych, przypadkowych, możnaby zupełnie uwalniać od odpowiedzialności. Najcharakterystyczniejszą częścią wywodów w tej mierze jest żądanie zniesienia kary więzienia za niektóre uczynki i zastąpienia jej przez zwrot kilkakrotnie zwiększonych strat poszkodowanemu. Szczegóły pomijamy, czytelnik je znajdzie w nr. 4 tegorocznej *Prawdy*. Natomiast w przyszłym numerze zatrzymamy się nieco nad niektórymi praktycznymi wnioskami, wypływającymi z rezultatów kryminalnej antropologii w zastosowaniu do sądów przysięgłych, domów dla małoletnich przestępców, prawa najwyższej łaski itd. Zauważymy tu jeszcze, iż *Kryminologia* Garofala, naszem zdaniem, przedstawia zaledwie pierwszą, opartą zresztą na klasowych uprzedzeniach próbę zreformowania prawodawstwa i postępowania kryminalnego stosownie do naukowych zdobyczy antropologii kryminalnej. Że w tym kierunku prze rozwój, o tem niewątpimy. Jako silna dźwignia służą tu zjazdy międzynarodowe antropologów-kryminalistów. Pierwszy odbył się przed dwoma laty w Rzymie, drugi ma być w Paryżu. Kwestya oparcia kryminalistyki na antropologii zajmuje tu jedno z pierwszych stanowisk. (D. c. n.).

Ludwik Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Adolf Dygasiński: *Wskazówki do ćwiczeń stylistycznych polskich*. Warszawa, 1889.

Dbała o zaspokojenie umysłowych potrzeb społeczeństwa, księgarnia wydawnicza Gebethnera i Wolffa w ciągu półtora miesiąca drugim już nas podręcznikiem stylistycznym obdarza. Ocenialiśmy niedawno *) utkaną pilnie i przedstawiającą dość bogaty materyał pedagogiczny, chociaż pozbawioną umiejętnego podkładu, pracę p. Józefy Kamockiej. Dziś nastręcza się dziełko, usnute przez człowieka, który na dwu różnych polach — twórczem i naukowem — niejednokrotnie zapisał swe imię. Zbadajmy zawartość nowej książki.

Oparte na gruncie psychologicznym, „uwagi wstępne" odznaczają się wogóle jasnym a treściwym wykładem. Autor, wykształcony na nowszych wzorach literatury wychowawczo-dydaktycznej, daje odprawę zaśniedziałemu pedantyzmowi, i teoryę sprowadza do *minimum*. „*Stylu* (powiada) *nikogo nauczyć nie można*; nauczyciel powinien tylko ucznia wspierać w samodzielnem myśleniu i w porządnem wyrażaniu tego myślenia na piśmie. *Prawideł stylistycznych niema żadnych, są tylko prawa myślenia.*" Każdy, kto przeczyta te słowa (nie będące zresztą oryginalnym p. Dygasińskiego pomysłem), ma prawo się zadziwić, dlaczego autor, tak negatywnie spoglądający na naukę stylu, niewdzięczne w swej książce podjął zadanie. Nie ulega wątpliwości, że stylistyka w ścisłym z logiką zostaje związku (wewnętrzne to pokrewieństwo dostatecznie uwydatniono); ale łączy ją nierozerwalne ogniwo z dwiema innemi jeszcze naukami: gramatyką i estetyką. Gdyby był p. D. na tę granicę swego przedmiotu baczniejszą zwrócił uwagę, byłby mu się rozwidnił i rozszerzył widnokrąg: nie potrzebowałby się uciekać do paradoksalnych definicyj i ograniczać na dorywczych, niezgodnych często z podstawowem założeniem a błędnych (jak to później obaczymy) „wskazówkach." Trudno jest zaprawdę, fotografując bieg własnej myśli, niby jaskółkę w locie, oddać ją zawsze wiernie, a strzedz jej wyrazu zarówno od lingwistycznych, jak i estetycznych zaćmień. Tą drogą wszakże cierniową każdy postępuje stylista: na tej też drodze szukać należy gruntownych podstaw teoretycznych nauki, której bytu słusznie p. Dygasiński *dzisiaj* nie uznaje.

Dwa są, według autora, główne rodzaje stylu: „prosty i *złożony*." Jest to, jak widzimy, logiczne uregulowanie podziału, przekazanego przez starożytnych. Termin jednak „złożony" nie malnje dokładnie pojęcia; nasuwa on bowiem zawsze wyobrażenie o *częściach składowych*, gdy tymczasem wszelki styl poprawny, choćby najwyszukańszy, jednolitym być musi; a ponieważ wyraz ten jest przeciwbiegunowym odpowiednikiem pierwszego, lepiejby więc był o

*) Patrz nr. 37.

grenadyerów i huzarów Blüchera z korpusu pomorskiego; uradowało mnie to, bo nie spodziewałem się ich tutaj widzieć.

Wuj Karol i Wilhelm meklemburski również przysunęli się do mnie; ostatni otrzymał lekkie cięcie szablą w czasie kawaleryjskiej utarczki. Nakoniec po długich poszukiwaniach znalazłem króla. Zawiadomiłem go przeto o obecności mej armii na placu boju i pocałowałem go w rękę, on mię zaś uściskał. Obaj nie mogliśmy początkowo wyrzec słowa, wreszcie on pierwszy przemówił, ucieszony mojem dotychczasowem powodzeniem i że dowiodłem, mego uzdolnienia, jako wódz. Udzielił mi, o czem doniósł telegrafem, za poprzednie zwycięztwa, order „pour le mérite." Nie otrzymałem tego telegramu; teraz więc na placu boju, na którym rozstrzygnąłem zwycięztwo, król mój i ojciec wręczył mi najwyższy nasz order wojskowy. Wzruszyło to głęboko i mnie i wszystkich obecnych. Był to śliczny wieczór, a właśnie w czasie naszego powitania roztaczał się wspaniały zachód słońca. Obecnymi byli: Bismark, wszyscy oficerowie królewskiego i mego orszaku. Tu znowu zobaczyłem Schweinitza i Reussa VIII.

Potem rozmawiałem jeszcze dłuższy czas z królem, polecając mu gorąco generałów Blumenthala i v. Steinmetza, którzy przyjęli ważny udział w moich rozporządzeniach. Jego królewska mość przychylił się do tych próśb; Steinmetz otrzymał order Czarnego Orła, bitwie zaś nadał imię „pod Königgrätzem" *).

Powrotnie teraz zwróciliśmy się ku Chlumowi, ażeby wyszukać w Horenowes jakąś na noc kwaterę, lecz bagaże zostawione w Königinhof, mogły przybyć dopiero nazajutrz. Błąkaliśmy się tu i owdzie, przyczem zapoznaliśmy się z niejedną okropną stroną pobojowiska, aż wreszcie dojechaliśmy do wsi, wyżej wymienionej. Mieściło się tu już 3,000 austryackich żołnierzy, pojmanych w niewolę, wokoło obozowali nasi żołnierze; niektórzy z nich śpiewali.

Często przecież śmieszność i powaga sąsiadują z sobą. Tak stało się i tutaj. Kilku piechurów ścigało świnię, aby z niej zrobić smaczną pieczeń. Pogoń trwała dość długo, aż wreszcie użyto rewolweru. A właśnie przed kilku godzinami na tem samem miejscu wrzał gorący bój jazdy i kupami całemi leżały trupy pułku brandeburskich ułanów, dragonów gwardyi i huzarów Ziethena.

Podziwienia godnym jest pośpiech, z jakim nasi żołnierze przenosili swych rannych i zabitych towarzyszów; pruskich trupów mniej wskutek tego widać, niż austryackich. Również służba zdrowia sprawia się tu doskonale.

W zupełnie pustym domu urządzono nam posłanie ze słomy; przez cały dzień żywiliśmy się chlebem i koniakiem; obecnie również chlebem żołnierskim, kupionym u markietanki, trzeba było zaspokoić głód. *A la guerre comme à la guerre* wypełniło się tutaj dosłownie. Wysiedziawszy się na koniu od 8 rano do 8¼ wieczorem, pomimo fatalnej gospody, spaliśmy dobrze, o ile wzruszenia po takim wypadku mogły nam dać spokój.

Nie mogliśmy przecież naszych biednych koni ani nakarmić, ani napoić. Ile razy tylko spotkałem wóz z bagażami, urywałem nieco słomy i karmiłem mego wiernego Cairn-Gorum. Oddał mi on znowu doskonałe usługi.

Czułem, że dzień dzisiejszy jest ważną kartą w dziejach Prus i prosiłem Boga o oświecenie króla i jego doradców, aby umieli owego zwycięztwa skutki obrócić na dobre dla przyszłości Prus i Niemiec. Żywo śniły mi się tej nocy żona i dzieci.

Tłom. *N.*

*) Mimo to zwykle nazywa się ona „pod Sadową."

czyniąc zadość logice i terminologii, obie nazwy zastąpić innemi: *pospolity* i *naukowo-literacki*.

O trzech kardynalnych znamionach dobrego stylu (jasności, czystości i harmonii) traktuje p. D. w sposób tak pobieżny, jakby mu szło nie o istotną korzyść licznego czytelników grona, ale tylko o utrzymanie się na raz obranem stanowisku negatywisty. Zapomina on, że sam fakt przystąpienia do wykładu prawideł stylowych zaprzecza wypisanemu na sztandarze hasłu... Podane w rozdziale III ogólniki mały szkole przyniosą pożytek. Mówi on np. między innemi, że „nie należy być zbyt żarliwym obrońcą czystości języka,“ że archaizmy, neologizmy, prowincyonalizmy, barbaryzmy nawet nie zasługują na bezwzględne potępienie. Na taki sąd zgodzimy się chętnie, ale pod warunkiem, że po nam autor nie w szesnastu wierszach, ale w szczegółowym rozwinie traktacie. Dopóki to nie nastąpi, słuchać będziemy jego przestróg z taką samą uwagą, z jaką słuchamy słów toksykologa, prawiącego przy sutem obiedzie o dobroczynnem działaniu rozmaitych trucizn. W wykładach teoretycznych jest niekiedy p. D. nadmiernie zwięzłym, i może bezpiecznie zastosować do siebie słowa Horacego: „Brevis esse laboro, obscurus fio.“ Na str. np. 23 powiada: „utwór, w którym się autor sadzi na obroty krasomówcze lub styl ozdobny, traci raczej, niż zyskuje przez to w uznaniu czytelników i krytyki.“ Ponieważ ta uwaga stoi samoistnie na końcu rozdziału, a słowo „sadzi się“ nie jest bynajmniej podkreślone, człowiek nawet rozsądny dzikie z niej sposobem naturalnym wyprowadzić może wnioski...

W artykule o „obrotach krasomówczych“ nie znajdujemy ani dokładności, ani systemu. Jeżeli autor przeznacza swą książkę dla nauczycieli (do podobnego przypuszczenia upoważniają nas zwrócone ku przewodnikom młodzieży, w rozdziale II, wskazówki dydaktyczne), to mieliśmy prawo od niego żądać, by na dany przedmiot nowe jakieś rzucił światło; jeżeli dla uczniów, to starać się przynajmniej wypadało o ścisłość i jasność określeń. „Metafora (mówi p. D.) polega na podobieństwie dwóch wyobrażeń, z których jedno podstawia się za drugie.“ Dobra to zapewne, ale nazbyt zdawkowa definicya — w głowie średnio uzdolnionego ucznia pomiesza się ona niezawodnie z określeniem innych „obrotów.“ Czy nie lepiejby było tę podstawową, tak silnie ze stanowiska *psychologicznego* uzasadnioną, a szeroko we wszystkich językach rozpostartą przenośnię — związać genetycznie z „porównaniem,“ któremu autor, jak na przekorę, dalekie od metafory wyznaczył miejsce? W określeniu alegoryi tkwi błąd logiczno-stylowy: „Alegorya jest także metaforą, *jeżeli w niej występuje* tylko upodobnione wyobrażenie...“ A w przeciwnym razie czem ona będzie?

Przejście od działu teoretycznego do praktycznego stanowi dość bogaty, opatrzony przykładami i objaśnieniami, wykaz synonimów. Jest to, obok wskazówek, zamkniętych w rozdziale I i II, najcenniejsza część książki.

Cały zbiór—jużto naszkicowanych, jużto opracowanych tematów (od str. 40 do 169) zamknął autor w czterech ramach: opisu, opowiadania, porównania i rozprawy. O pedagogiczne ustopniowanie treści nie troszczył się on wcale: tu i owdzie tylko spotykamy podwójne plany z nawiasowem objaśnieniem: „dla młodszych“ — „dla starszych.“ Niższe klasy, mianowicie druga i trzecia, nie znalazłyby tu dla siebie odpowiedniej karmi. Osnowy do tej części przewodnika, dostarczyły p. Dygasińskiemu, jak sam powiada, prace: „E. Kehra, J. Venna, W. Sommera, J. Kehreina, D. G. Herzoga, Fr. Linniga, A. Mobusa, L. Rudolpha, C. H. Reihardta, Hartunga itd.“ Imponujący to poczet! Na takiej podstawie można byłoby coś pożyteczniejszego zbudować... Tematy w dziale opisowym odnoszą się prawie wyłącznie do świata zwierzęcego lub roślinnego; studya zatem nad zoologią i botaniką muszą być połączone z nauką języka. W naszem położeniu z wielu względów jest to niemożliwe... Należałoby wreszcie o tej elementarnej prawdzie pamiętać, że pomimo spójni, łączącej ze sobą wszystkie nauki, każda z nich ma właściwą sferę. Wykładający np. botanikę powinien biegle władać językiem, a lingwista — mieć zdrowe o świecie roślinnym pojęcie; ale śmiesznem jest — w wieku różniczkowania specyalności naukowych — wszelkie łamanie przegród naturalnych, dzielących różne regiony. Wypracowania tedy stylistyczne—mniej lub więcej *szczegółowe*—na temat, poczerpnięty z zoologii lub botaniki, uważam za pomysł równie chybiony, jak rozprawy krasomówcze o budowie maszyn lub fabrykacyi oleju.

„Dyspozycya,“ którą autor przy każdym niemal uwzględnia zadaniu, niezawsze się opiera na logiczno-psychicznej podwalinie. W obrazie np. „Letniego poranku“ czytamy: „Zrazu wszędzie jest pusto, cicho, *jakby w chaosie przed stworzeniem świata...*“ „Nauczyciel (jak nam w rozdz. II. p. D. objaśnia) powinien ucznia wspierać w samodzielnem myśleniu.“ Jeżeli tak, to dlaczego mu nasuwa porównanie ciszy, brzask dzienny poprzedzającej, z owym chaosem, o którym ani mistrz, ani uczeń żadnego nie ma pojęcia? Jeszcze gorzej się przedstawia dyspozycya „Wieczornych myśli w lecie.“ „*Cóż piękniejszego i milszego być może* (opiewa punkt pierwszy), *jeżeli nie te ciepłe letnie wieczory...*“

— Za pozwoleniem (powie niesforny uczeń), ja wolę poranek.

— A ja (odezwie się drugi) — noc letnią.

— Cicho błazny!

— Panie profesorze, to obelga!—„Wspieraj nas pan w samodzielnem myśleniu,“ ale własnych nie narzucaj upodobań.

W całej tej dyspozycyi autor niepotrzebnie „sadzi się“ na styl ozdobny („Brzask zachodzącego słońca, który swą złotą siatkę po nad lasem i górami rozpina... itd.“). Rozkład zawsze powinien być jak najprostszy; cienie i barwy nie mogą mieć miejsca w zarysie, jaki uczniowi podajemy — inaczej, zostanie on do rydwanu myśli naszych przykuty, wbrew naczelnej, „psychologicznej“ zasadzie.

W „opisie charakteru człowieka prawego“ punkt pierwszy dyspozycyi tak się przedstawia: „Poglądy swe i dążności czerpie ze źródeł prawdy.“ Byłbym w kłopocie, gdyby mi kazano zdanie to rozwinąć. Do *poglądów* dochodzimy drogą długiej pracy umysłowej, *dążności* uwydatniamy w działaniu, a *źródeł*, mianem *prawdy* ochrzczonych jest tak wielka ilość, że bez wyboru i krytyki czerpać z nich niepodobna..

„Opowiadania“ są bardziej od „opisów“ urozmaicone i wszystkie prawidłowym odznaczają się planem, chociaż autor w rozkładzie treści przestrzega tylko ściśle modły, odziedziczonej po starożytnych retorach („quis, quid, ubi, quibus auxiliis, cur, quomodo, quando“). Pomysły do trzech tematów—„Obraz śmierci Sokratesa,“ „Walka Horacyuszów z Kuryacyuszami“ i „Pierwsze stopnie cywilizacyi“ — zasługują nawet na miano wzorowych. W szczuplejszej rubryce porównań, które do rozpraw należąc, niepotrzebnie osobny dział stanowią, celuje zarówno dobrą dyspozycyą, jak wykonaniem — „Kołyska i trumna.“

Między rozprawami, kształtowanemi według wzoru aleksandryjskiej *chrei*, wyróżnia się ujemnie dyspozycya utworu p. t. *Na czem polega przywiązanie do miejsca rodzinnego*. We „wstępie“ narzuca pedagog swemu uczniowi myśl tak poboczną, że chyba tylko w „zakończeniu“ możnaby ją uwzględnić. „Porównanie człowieka, który żyje zdala od rodzinnego miejsca, z rośliną,“ na obcy grunt przesadzoną, nie może być punktem wyjścia w rozumowaniu: 1) dlatego, że jest już zanadto skomplikowane; 2) że ze względu na zasadniczą różnicę, jaka między światem zwierzęcym a wegetacyjnym zachodzi, nie może być przeprowadzone konsekwentnie. „Ekspozycya“ opiewa: „spędziliśmy tam czasy młodości i *doznaliśmy licznych rozkoszy*“ — „rodzinna okolica *sama nas ciągnie* do siebie...“ Są ludzie, dla których miejsce wychowania istną było katownią; okolica więc, gdzieśmy młode lata strawili, ciągnie ku sobie urokiem jasnych wspomnień, a widmem nieszczęść odpycha...

Praca p. Dygasińskiego jest przepełniona balastem artykułów zbytecznych. Do takich należą „Dąb“ (na str. 56, 7 i 8) — surowy, bez oświetlenia naukowego, materyał; różne opisy zimy, wiosny, burzy, zdawkowe biografie Sokratesa, i wogóle to, czego promień metody analitycznej nie dotknął. Najbardziej wszakże zagadkowym jest „dodatek,“ zamykający w sobie osiem listów. Są to, jak widać, rzucone mimochodem, ku pożytkowi napół-piśmiennej gawiedzi, wątpliwe wzory stylu korespondencyjnego. Jeden z nich szczególną na siebie zwraca uwagę: były nauczyciel (sic!) prosi „możnego“ o protekcyę, w celu uzyskania posady w biurze kolei nadwiślańskiej. Autor zapewne nie przypuszcza, żeby ktokolwiek z pedagogów podobny temat uczniowi mógł zadać; jest to więc z jego strony wspaniałomyślny upominek, złożony na ołtarzu schorzałej ludzkości, z którego niezawodnie jakiś emeryt zrobi sobie szczebel do nowej karyery. Szkoda tylko, że p. D. „żadnych na jego korzyść nie przytoczył zasług,“ a korektor spłatał mu figla, pozostawiając *ó* w wyrazie *bióro*, co może fatalnie wpłynąć na jego losy — idzie tu bowiem o posadę „przy dzienniku,“ a do takiego urzędu elementarna znajomość ortografii jest, jak wiadomo, koniecznie potrzebna.

Dziełko p. Dygasińskiego ma tę główną zaletę, że dostarcza cennych wskazówek metodycznych (od str. 1 do 15) i rozwija szczegółowo znaczenie dyspozycyi w wypracowaniu stylowem. Oparte na źródłach obcych, w wyborze tematów prawie wcale swojskiego nie uwzględnia gruntu. Nie odznacza się też ani ścisłą konsekwencyą, ani jednością celu, ani symetryą w układzie szczegółów. Odświeża jednak w kilku umiejętnych rysach zatęchłą atmosferę naszej stylistyki i dlatego do pożądanych w literaturze szkolnej należy zjawisk.

A. G. Bem.

POLACY W HISZPANII *)

(1808—1812).

Zgrozą przejmują nas starożytni, składający czczonym przez się bożkom na ofiarę ludzi. A przecież ten sam czytelnik zawsze z zajęciem, niekiedy zaś z zapałem i uwielbieniem czyta dzieje człowieka, który poniekąd przypominał starożytnych chciwością na krew człowieczą. Napoleon I, jak istota nadziemska wprawiał w gorączkowy ruch jedne narody, inne napawał śmiertelnem przerażeniem, a życzenia swe zamieniał w rzeczywistość z pomocą przelewu morza krwi. Śmierć setek, tysięcy ludzi nie sprawiała na nim najmniejszego wrażenia, pozostawał zimnym i nieczułym. Była chwila, kiedy połowę Europy wpakował w jarzmo i pędził uzbrojoną żelazem, przeciwko drugiej połowie. Była chwila, kiedy większa część ras i ludów, zamieszkujących naszą część świata, uznawała go swym władcą i panem; każdą z nich bowiem

*) Przez Zygmunta Lucyana Sulimę. Warszawa, 1888, str. 351.

do swego wozu przykuł bądź orężem, bądź interesem, bądź złudnemi obietnicami.

Jeszcze w czasach wojny włoskiej, zapoznał się z liczną garścią polskich wojowników pod Dąbrowskim i Kniaziewiczem. Później garść owa urosła w liczne wojsko, którego znaczna część po utworzeniu Księstwa Warszawskiego musiała walczyć daleko po za granicami kraju. W latach między 1808, a 1812 rokiem 17,000 wojska polskiego, pozostającego bądź na żołdzie francuskim, bądź płaconego ze skarbu Księstwa, musiało wyruszyć aż do Hiszpanii. Te cztery lata ustawicznej wojny, często wielkiej, często natomiast podjazdowej stanowią osobny odłam dziejów. Z owych to chwil pozostała nam spora ilość pamiętników, kreślonych przez naocznych świadków. Byli to oficerowie, biorący sami udział w owej wyprawie. A więc dorywczo i na kolanie, w wirze wypadków lub znacznie później, w lat kilkadziesiąt potem, spokojnie przy biurku pisali: gen. Mroziński, Załuski, Brandt, który dosłużył się stopnia generalskiego następnie w wojsku pruskiem, Boecker, Placzkowski, Wojciechowski, Dobiecki, Lux i inni. Z tych to materyałów, często niekrytycznych, często przecież drgających życiem i tętniących prawdą, ułożył p. Sulima niniejszą opowieść.

Na końcu powiemy, jak wywiązał się z podjętego przez się zadania, teraz zaś nakreślimy pokrótce szkic dzieła.

W owych siedmnastu tysiącach ludzi, którzy poszli do Hiszpanii, znajdowali się przedstawiciele rozmaitych warstw społecznych, choć jądro, rozumie się, stanowili chłopi, nie wiedzący nawet, dlaczego idą tak daleko i za co mają przelewać swą krew. Lecz byli tam również żydzi i tatarzy. Oficerowie owej przeważnie pochodzili ze szlachty, choć i tu już często można napotkać „złe urodzonego," który męstwem i bystrością wywalczył sobie oficerski stopień. Jeżeli między żołnierzami panowała obojętność dla celów wojny, to wyżej, przed frontem każdy miał wyrobione zdanie. Zdania te przecież różniły się wielce między sobą. I tak, jedni bili się chętnie, ponieważ wierzyli obłudnym zapewnieniom Napoleona, innych czarował jego urok, inni znowu zdziczeli w żołnierskiem rzemiośle i rąbali nieprzyjaciela niemal dla własnej przyjemności, ostatni wreszcie — tych zaś niestety było niewielu — bili się, bo im tak nakazywało przyrzeczenie, złożone przy wdzianiu munduru, lecz jasno i surowo oceniali dwulicowe postępowanie cesarza. Ci też tylko szczerze tęsknili za krajem.

Wyborną jest scena, którą opowiada Brandt. Było to w czasie oblężenia Tortozy, twierdzy położonej w Walencyi — prowincyi cudnej, pełnej wiecznie kwitnących ogrodów, pomarańcz i mirtów. To też podobało się tutaj polakom. Oblężenie wśród ciągłych utarczek ciągnęło się powoli. „Wobozie pobudowano sobie baraki, urządzono się, jak można było, najlepiej. Obóz ten leżał w prawdziwie rajskiej dolinie, między rzeką Jertą, a drogą do miasta Walencyi. Wieczorem płonęły wesołe ognie, a chociaż hiszpanie z redut posyłali strzały armatnie, nie zwracano na to wcale uwagi. Żywności był dostatek; pod cieniem drzew figowych spożywano wyborną pieczeń baranią z kartoflami i pito jasne, bezwonne, niemniej przeto doskonałe wino walencyjskie. Żołnierze podpili sobie nieco, a między woltyżerami polskimi, zdarzył się tragiczny wypadek tegoż wieczoru. Jeden z nich, dobrze mający w głowie, zawołał:

— Niech Bóg błogosławi burmistrza, który mię wybrał na żołnierza. Pan burmistrz pewnie w swojem życiu nie kosztował nigdy ani takiego wina, ani takiej czekolady. Niech żyje!

Ale w tej chwili, gdy podniósł kubek, ażeby spełnić toast za zdrowie burmistrza, gwizdnęła kula armatnia z cytadeli i zdjęła wesołą głowę z korpusu tak, jakby ją kto sztucznie oddzielił od ciała."

Inny pamiętnikarz opowiodział scenę, świadczącą i o wprost przeciwnych uczuciach dla Hiszpanii i o zdrowym poglądzie na tę wojnę wielu oficerów. Działo się to w 1812 r., gdy wojska polskie wracały do kraju.

„Skorośmy tylko przeszli granicę, stanęliśmy dla odbycia dłuższego wypoczynku. Żołnierze wszędzie zbierali się w gromadki, wielu z nich obracało wzrok po za siebie, rozmawiano o towarzyszach, którzy poginęli w Hiszpanii. Oficerowie i żołnierze żegnali się z krajem, któryśmy opuszczali, jak ze starym znajomym. Wielu uważało go jako kolebkę sławy, inni zaś jako krainę zawiedzionych marzeń i nadziei."

Wtem jeden z żołnierzy wdrapał się na wysoką skałę.

— Ha! — mówili między sobą oficerowie—ten dopiero naprawdę żegna się z Hiszpanią.

Wtem nagle ujrzeliśmy, jak ściągnąwszy dolną część ubrania, odwrócił się w stronę Hiszpanii, krzyknąwszy stentorowym głosem:

— Oto masz, ty przeklęty kraju, za to, żeś połknął tylu moich braci i towarzyszów!

Podczas kiedy cały tłum żołnierzy pochwalał jego postępowanie, kapitan Szmett, nie lubiący nigdy dobrze mówić o Napoleonie, odezwał się do nas:

— Szkoda tylko, że ten nieborak pomylił się w adresie, bo kraj właśnie nic temu nie winien, że bronił własnej skóry."

Przyjemnie usłyszeć takie zdanie, gdyż właśnie polacy w Hiszpanii nie rozumieli charakteru tej wojny i tamtejszych mieszkańców błędnie zwali buntownikami, jak mówi p. Sulima. Wogóle te cztery lata ustawicznej wojny nie wywarły dodatniego wpływu na charakter polskich żołnierzy. Zdziczeli, przywykli do rozlewu krwi, do rabunku i do gwałcenia kobiet. To ostatnie zdarzało się nader często; wszędzie zaś, gdzie przez dłuższy czas stali załogą, zawiązywali polacy stosunki miłosne, nie bez owoców. Jeszcze dzisiaj w niektórych miasteczkach gwara ludowa zowie „polakami" blondynów i szatynów z oczami błękitnemi.

Trzeba przyznać atoli, że walczyli owi żołnierze dzielnie, odznaczali się karnością i niezwykłym sprytem. Niema ani jednej znaczniejszej bitwy zwycięzkiej, do której rozstrzygnięcia nie przyczyniłby się ich oręż. Dość wymienić takie imiona, jak Samosierra, Saragossa, Okana, Almejda, by ich zasługi wojskowe w właściwem postawić świetle. Nadto trzeba powiedzieć, że z owych 17,000 ludzi wyszło z Hiszpanii nie całe 10,000. Taka różnica dużo mówi, gdy zważymy ów pewnik wojennej umiejętności, że na 100 kul, posłanych nieprzyjacielowi, zaledwie 0.75% trafia, tj. rani lub zabija. W znanem zdobyciu wąwozu Samosierry trzeci szwadron szwoleżerów polskich, który pierwszy popędził do ataku, stracił 57 zabitych na 125 żołnierzy. A przecież ci ludzie padli tylko gwoli kaprysowi Napoleona, który nie chciał czekać, aż za kwandrans piechota bocznemi ścieżkami obejdzie ów wąwóz i wyprze hiszpanów z ich niezdobytych napozór stanowisk.

Hiszpanie lubili bardziej polaków, aniżeli francuzów, jeżeli tutaj wogóle może być mowa o jakiemkolwiek uczuciu przyjaznem. Pamiętnikarze przecież przekazali nam ciekawe szczegóły, tyczące się wyobrażenia, jakie krajowcy początkowo żywili o nas. Francuzi, przed przybyciem pułków polskich, rozszerzyli wieść, że są to ludożercy, którzy przedewszystkiem połykają dzieci i księży. Kilka scen, które p. Sulima na podstawie źródeł opowiada, wzbudzają szczery śmiech czytelnika. Naodwrót przecież nawet i oficerowie polscy fałszywe mieli o tym kraju mniemanie, znali go bowiem tylko z pieśni i romansów rycerskich. Jeden z pamiętnikarzy żali się na zawód, jaki go z tego powodu spotkał, w dość naiwnych słowach.

Niepodobieństwem jest opowiedzieć, a chociażby zaznaczyć całe mnóstwo szczegółów, które zgromadził autor w swej cennej książce. Cenną zaś nazwać ją trzeba dla krytycyzmu, z jakim kreśli owe dzieje, zwykle w zachwyt wprowadzające wszystkich epigonów romantycznych. Jasno i stanowczo powiada, że szkodą było dla kraju wyprowadzenie z niego takiej wielkiej ilości najzdrowszych i najdzielniejszych jednostek. „Wspaniała to epopeja," lecz kazi ją fałszywy patryotyzm u wielu, brak tegoż u pewnej garści najbardziej zdziczałych.

Należy zachęcić p. Sulimę, który zresztą nie pierwszy raz wziął pióro do ręki, by obrobił w ten krytyczny, a przecież serdeczny sposób i inne chwile z dziejów naszych.

A. Witski.

WYSTAWA SZTUKI.

I.

Monachium, październik.

Ciepły *sirocco* uciekł z nad Adryatyku, śnieg grubą warstwą pokrył szczyty tyrolskich Alp, ubielił nawet gdzieniegdzie dachy góralskich chat, przyprószył doliny i wąwozy—zdawało się, że droga do stolicy sztuki niemieckiej i piwa jest szlakiem do bieguna północnego. Myśl chciała już zgnuśnieć i skostnieć w lodowych objęciach zimy i wraz z ziębniętem ciałem zasiąść u komінka...

Na szczęście, starsze niewiasty (zwane pospolicie babami), zbudowane pięknym przykładem gęsi kapitolińskich, przysłały jeszcze na pomoc swoje późne lato, tym razem wyjątkowo ciepłe, trwałe i spokojne. Jesienne słoty czekają swej kolei cierpliwie, nie brudzą pięknego błękitu nieba, więc jakże tu nie odżyć raz jeszcze, nie zapragnąć silniejszych wzruszeń, wstrząśnień i... estetycznych rozkoszy? Zwłaszcza, jeśli wrót swych jeszcze nie zamknęła pyszna, międzynarodowa wystawa dzieł sztuki.

Parę miesięcy temu Monachium kipiało życiem, do jakiego niemieckie nerwy nie są wcale stworzone. Składano hołd pamięci Ludwika I, któremu kraj i miasto zawdzięczają słynne zbiory płócien i rzeźb, okazałe gmachy i piękne ulice, wyborne szkoły i biblioteki. Dokoła wyniosłych posągów i pomników krążyły fantastyczne pochody, pełne kwiecia i średniowiecznego przepychu barw. Dotąd jeszcze okna księgarń zatłoczone są ciekawemi fotografiami i całą literaturą jubileuszowych wydawnictw i sztychów. Święto narodowe zostawiło niezatarte ślady w ogólnym wyglądzie grodu a Akademia sztuk pięknych dotąd jeszcze nie może uprosić swych wychowańców, ażeby... zwrócili jej pożyczone na festyny ubiory i akcesorya. Biedacy, wiedzą oni dobrze, że nawet kostiumy teatralne w pewnych razach mogą się przydać.

Fale tłumów, przybyłych z rozmaitych okolic Niemiec, odpłynęły już, znowu zrobiło się luźno i można swobodnie błądzić po niezliczonych prawie salach Szklanego pałacu, w którym nagromadziła swe skarby muza. Można tu widzieć dzieła wszystkich prawie szczęśliwych jej ulubieńców, władających pędzlem, dłutem i cyrklem. Wszystkie narody przysłały, co mają najlepszego — nie, źle mówię: narody; niemiec rozumie tylko państwa, a więc kto nie ma osobnej swej obwódki kolorowej na mapie, ten nie ma i osobnego pokoju na wystawie, jeno szukać musi przytułku, choćby się nazywał Matejką, Brandtem, Horowitzem, Szymanowskim, Kowalskim itp.

W każdym razie wyścig to na olbrzymią skalę. Trzy tysiące kilkaset dzieł! Dopiero

po dziesięciu, dwunastu odwiedzinach można sobie wytworzyć jakieś przybliżone choćby pojęcie ogólne o tem niesłychanem bogactwie płócien i rzeźb. Zarząd wystawy przeląkł się aż, żeby taka obfitość pokarmów dla ducha nie osłabiła ciała i to ostatnie wziął nawet w swoją pieczę, zapraszając na miejscu do *table d'hôte*, rzecz prosta— za przyzwoitą opłatą. Widz zatem może spokojnie cały dzień tu przebyć, od rana do nocy, jeżeli szalony natłok wrażeń nie sprawi mu bólu głowy i oczów a pielgrzymka kilkunastogodzinna nie odrętwi nóg.

Jednakże są tacy, co się na tyle hartu zdobywają. Dodaje im raczej sił sama galerya, z której bije pewna myśl, pewien nastrój elektryzujący. Chce się wierzyć, że potop przeszedł po malarstwie i zniszczył w niem stare tradycye; klasycyzmu ledwie gdzieś tam dojrzemy ślad, historycznych upiększeń przeszłości z ich koturnową powagą i nieodłącznym majestatem berła jeszcze mniej. Wszystko tryska świeżością, wszystko młode, jędrne, żywotne a olśniewające.

Godło „natura" wypisane na sztandarze literatury i sztuki zrobiło swoje. Wyziera ono zewsząd, z mnóstwa krajobrazów morskich, rzecznych, górskich, łącznych i leśnych, przedewszystkiem, z nieprzebranej liczby portretów i popiersi, z setek scen rodzajowych i obyczajowych.

I religia dostarczyła motywów sporo. Krytycy niemieccy — mimo całe swoje znawstwo i widoczne ku naturalizmowi ciążenie, nie mogą przyklasnąć wielu obrazom, pełnym przekonywającej siły i prawdy. Połowiczne więc tylko uznanie zjednała sobie taka np. „Wieczerza Pańska," w której Fryc von Uhde z niesłychaną śmiałością i trzeźwym rozumem odtwarza postać Chrystusa i dwunastu apostołów. Na twarzach prostych w postaciach, okrytych niemal łachmanami, wypiętnowało się głębokie, dosyć może pierwotne, ale wysoce poetyczne wzruszenie i zgroza świątobliwa. Zbawiciel wygląda tu całkiem inaczej, niż go pojmują malarze „w dobrym tonie," obałamuceni wielko-pańskiemi słabostkami papizmu. Znikł tu profesor św. teologii, znikł doktor hebrajski walczący z faryzeuszami, znikł kaznodzieja z napuszoną miną retora, lub wydelikacony męczennik. Prawdziwa boskość może iść w parze z obliczem czerstwem, wyrazistem i naturalnem.

Zdaje mi się, że płótno von Uhdego ze swemi dwunastoma typami przejęcia i namaszczenia, tak odrębnymi, że razem tworzą przewyborną całość audytoryum — to prawdziwy obraz przyszłości.

Gabryel Max jest lirykiem miękim, chorobliwym a przecież jak jego „Madonna" dostrojona pysznie do upodobań wieku, jaka współczesna i mistrzowska w technice! Naprzód więc polega cała jej treść na kolorystycznym dowcipie. Widzimy przed sobą Bogarodzicę *in effigie*, obraz w obrazie, oprawny w piękne ramy, przed którémi płoną dwie gromnice i leżą symboliczne ofiary: serca, baranki, ręce z wosku. Twarz Madonny wprawdzie matowo biała i przezroczo delikatna, ale to rysy nam znajome; niema w nich cienia klasycznej, szablonowej prawidłowości; raczej trochę zalotne, choć przy tem pełne słodyczy. Dzieciątko na ręku wprost wzięte jakiejś *Fräulein* lub niańce, piękne i rozumne, ale całkiem po naszemu. Cudownie oddana lekka gaza, otulająca główną figurę; świece i ich płomyk, rzucający, snać, we dnie, lekkie plamy różowe na płótno, pozłota ram i sam wosk— świadczą wymownie, że tu szło nadewszystko o bezwzględną dla oka prawdę.

Na tysiąc klejnotów, jeden ledwie mogąc w tem miejscu bliżej zaznaczyć, wybieram brylanty czystej wody. Takim wydaje mi się z kategoryi religijnych obraz Piglheina „Złożenie do grobu." Motyw stary, jak świat, akademicko-nudny a przecież tym razem potężne i nowe niemal robi wrażenie. Nie mówię tego o grupie niewiast, złożonej z Matki Bożej, Maryi Kleofas i Maryi Magdaleny, które w sposób dosyć banalny wyrażają swoją boleść — ale o postaciach św. Piotra, Jana i Nikodema, w których przy spełnianiu żałobnego obrządku walczy zmęczenie z bezdennym smutkiem. Ale to nic jeszcze. Widownią jest głęboki wąwóz, niby głębia rozpadliny w skałach olbrzymich, ze ścianami stromemi. Do tego ukrytego przed okiem ludzkiem schronienia światło zakrada się ponuro, jak przez czarny kir, i obrzuca całą grupę bezmiarem niemej żałości. W opoce, czy też potwornym murze, tuż nad ziemią samą, czernią się wykute drzwi i wstęp do ciemnego korytarza rozjaśnia ledwie dojrzane światełko niewidzialnego kaganka. A po nad krawędzią tej głuchej przepaści widać niebo przedwieczorne, chmurno-fioletowe, posępne, jak mogiła. Z każdego ruchu świętych, odtworzonych realnie, z ogólnej scenery i mroku, wybranej, rzekłbyś, do ukrycia zbrodni, ze skupionej tajemniczości — zewsząd wieje ofiara, która dla wrogów ukrzyżowanego była śmiertelnym grzechem. Tak wyglądać musiała Antygona, gdy uciekała z drogiemi zwłokami brata.

Mimowoli usta widza powtarzają pełnym potwierdzenia szeptem piękny napis: *Odio crucifixus, charitate sepultus...*

Niejedna ciasna teoryjka estetyczna, rodem z Warszawy, musiałaby się zarumienić ze wstydu wobec tego świetnego zwycięztwa malowideł religijnych. Niech jednak jej ojców pocieszy fakt, że takie cuda stwarza realizm wykonania, gdy idzie na posługi nieskrępowanej niczem fantazyi.

To piękne rodzeństwo dwóch twórczych sił zebrało na wystawie jeszcze świetniejsze laury. Stała się tedy rzecz dziwna i na pozór paradoksalna. Główne nagrody przypadły tworom fantazyi niekiedy dzikiej i rozkiełznanej, pomimo iż wszyscy tutaj ukorzyli się zupełnie przed hasłem, wychodzącem z Francyi. A dlaczego? Bo w owych urojeniach wszystko, co było ziemskiem i śmiertelnem, przedstawiono z bezwzględną prawdą...

Bah! nie zabrakło nawet pięknych alegoryj, choć temu rodzajowi dziś już bardzo trudno utrzymać się na wyżynach sztuki. Utalentowany Keller zaryzykował ogrom pracy dla obrazu czysto symbolicznego i — nie żałuje chyba teraz. Zapragnął upoetyzować barwami zjednoczoną Germanię i jej bohaterów. Na razie motyw ten budzi niesmak w każdym, kto widział i widzi niesłychany wylew dynastycznych uczuć *Vaterlandu*, w tysiącach portretów, fotografij, biustów, medali i medalionów. Ta nadzwyczajna, prawie dziecinna czułość, kojarzy się z szowinizmem i zaludnia wszystkie sklepowe okna, muzea, place i ogrody ciżbą podobizn cesarzów Wilhelma I i II, że nie mówić już o ich znakomitych dworzanach i mężach stanu. Kellera płótno jest najszczerszym wyrazem tego nastroju, ale wyrazem pełnym harmonii, bardzo przyjemnej dla oka. Zmarły zwycięzca Napoleona III jedzie rydwanem, zaprzężonym w cztery śnieżno-białe rumaki — prawdopodobnie symbol czterech zrzeszonych królestw — a za nim na drugim już planie, w pysznych zbrojach rycerskich jego zmarły syn Fryderyk III z wawrzynem na skroniach, dalej ks. Bismark, marszałek Moltke i inni. Tryumfalny ten pochód, wyłaniający się z bramy Brandeburskiej, otwiera herold na spienionym koniu, powiewający białym sztandarem i wyszytym na nim orłem. Myśl prosta i zrozumiała, ale co ważniejsza, twarze oddane są znakomicie, o ile tylko pozwala na to idealistyczny ton obrazu. Żywa ta grupa wyszła z pod pędzla wytrawnego i jest wspaniale efektowna.

Całkiem odmienne, silnie dramatyczne wrażenie sprawia przysłane z Rzymu wielkie płótno Liski. I to fantazya, lecz już groźna. Cos. Maksymilianowi (któremu?) ukazują się cienie jego ofiar. Znamy już ten motyw szarpanego zgryzotami i dręczonego widziadłami sumienia z *Makbeta*, ale to nie przeszkadza mu być tutaj całkiem świeżym. Zapewne myślisz, czytając te słowa, że Maksymilianowi, blademu jak trup, włosy jeżą się na głowie, ręce drżą, wyciągnięte w stronę widma? Bynajmniej — twarzy jego nie widać. Wije się on w kurczach niewysłowionego strachu na kamiennych taflach rzymskiej świątyni i ukrywa głowę w zwojach płaszcza. Patrząc nań, myślisz, że za chwilę zniknie ci z oczu i wgryzie, wkopie się pod ziemię w niemej trwodze i rozpaczy.

Tym pomysłem, silnym nad wyraz, artysta osiągnął daleko więcej, niż najbardziej wyszukaną gestykulacyą sceniczną. Szereg widm, jak zwykle, posągowo sztywnych, gra tu już rolę mniejszą, ale muszę nadmienić, że całą tę balladę oblewa blade światło księżyca. Na marmur padają od kolumn i donic z kwiatami cienie, na srebrzystem tle światła tak dzielnie odtworzone, sam gmach tak jest wypukły, słowem wszystko dokoła tak łudząco prawdziwe, że stojąc przed tem płótnem, nie możemy wcale uprzytomnić sobie jego płaszczyzny...

Ale oto próbka fantazyi swawolnej — nie pamiętam już, czyjego pędzla, opatrzona podpisem *Gra fal*. W kilku wzdętych górach ślicznie szmaragdowej wody nurzają się pół-mitologiczne, pół-bajeczne dziwotwory i wyprawiają najdziksze harce. Potwór, przypominający jakąś karykaturę olbrzymiego centaura, z wyłupiastemi ślepiami, potężnym brzuchem miedzianym, pożyczonym chyba od Molocha, czworgiem końskich nóg pluszcze się obrzydliwie. Nieopodal dojrzała już rusałka, z twarzą lubieżnie, sprośnie nawet uśmiechniętą, kładzie się leniwie na fali; inna znowu, niczem nie różna od zwykłej kobiety, daje w wodzie szczupaka i wdzięcznie zgina piękne ciało, a na samym przodzie satyr jakiś porywa delikatną syrenę. Para to wyśmienita. Ona pulchna i biała, z trwogą w ogromnych niebieskich oczach, jak gdyby błagała widza o litość i pomoc, on, z wieńcem na głowie, z brunatną kosmatą piersią, śmieje się z niej. Na twarz pijacko czerwoną, rozpustną, cyniczną, na lśniący nos i wilgotne wargi, spadają z pod wianka jasno-blond włosy, tej samej barwy, co i kozia bródka. Więcej może, niż szyderstwa, maluje się w tych rysach szalenie komicznych, podochocenie starego wyjadacza, ale tak żywe i szczere, że każdy bez wyjątku, patrząc nań, zaczyna się głośno śmiać i to śmiać do niego. Najgenialniejszy z cyrkowych clownów nie łechce tak swemi produkcyami, jak ten opiły niecnota. Jest to w swoim rodzaju *majstersztyk* artystycznej zabawy.

Poważną jego stroną — mistrzowsko oddana gra świateł w spienionej wodzie; cudne barwy łuski na syrenim ogonie — perłowa masa jeszcze w porównaniu z niemi jest matowa i szara.

Ale choćby kto nie wiem jak był rozweselony „Grą fal" — jeśli od nich przeniesie wzrok na prawo, uczuje w sobie zimny dreszcz. Wisi tam bowiem olbrzymie płótno, które już nie łaskocze nerwów, lecz nimi wstrząsa nie na żarty.

Jest to „Widzenie w Koloseum," hiszpana José Benlliure. Wogóle półwysep Pirenejski jaśnieje tutaj wieloma cennemi pracami. Jest genialny Domingo, słynny Villegas-Cordoro i parę innych gwiazd znacznej wielkości. W pamięci zwiedzających wystawę zatrą się może oni rychło, bo każdo pojedyncze dzieło przytłacza bądź co bądź sąsiedztwo całego labiryntu innych — „Widzenia" jednak zapomnieć niepodobna.

Niepodobna go zresztą i opisać, jeśli się nie jest... poetą z zawodu, albo przynajmniej posiadaczem rozgorączkowanej chorobliwie wyobraźni. O to drugie nieco łatwiej, podaję więc w paru słowach treść obrazu.

Istnieje podanie, że kiedyś za czasów rzymskiego rozpasania, gdy w cyrku ciskano chrześcian na łup dzikim bestyom, zjawił się na arenie św. Almaquio, i chciał przeszkodzić okrutnym igraszkom. Siepacze cezara w odpowiedzi na to rzucili go w paszczę lwa, czy też tygrysa; odtąd widmo zamęczonego w ten sposób obrońcy przybywa co rok w dzień Zaduszny na ruiny Koloseum, otoczone innymi męczennikami, aniołami i powstałymi z grobów duchami.

Czy widział ich kto kiedykolwiek? Wątpię — ale w pomroce nocnej mogła ich dojrzeć wyobraźnia poety-malarza, błądzącego być może po gigantycznych zwaliskach, a dłoń z niepomiernem zuchwalstwem przeniosła widzenie na płótno.

Ogromną przestrzeń opasują poszczerbione mury z wielkimi łukowatymi otworami, którymi niegdyś pewnie wchodziło się do galeryj. W powietrzu widnieje postać świętego z krzyżem w ręku, który rzuca naokół srebrzyste światło. Ku tym promieniom jasnym i dziwnie czystym tłoczą się gromady duchów w brunatnych habitach, z trupioblademi twarzami i fosforycznym płomieniem w szeroko rozwartych źrenicach. To poczet świętych. Jeden z głową od siwizny białą patrzy na widza tak grobowo, że istotnie ciarki po ciele przechodzą. Inny smaga plecy twardymi rzemieniami, a krew strugami spływa po obnażonych ramionach. Tamten znów od katusz i cierpień wychudły straszliwie, z włosami przylepionymi krwią do czoła, pół nagi, ledwie śmie spojrzeć w światło krucyfiksu. Sto odmian męki i przerażenia, sto ofiar chrześciańskiego ascetyzmu zwraca ku niemu swe oblicza, tak okropnie storane i schorzałe, że ich widok przeszywa...

Św. Almaquio coś im zwiastuje z miną tajemniczą i wygląda jak groźny sędzia, który wezwał ten świat duchów na ostateczną rozprawę.

Dokoła z mgły wynurzają się niezliczone tłumy duchów. Z ciemnego nieba zlatują dziewice, anioły, otulone białą gazą. Twarzyczki ich blade, w rękach gromnice połyskują zdala czerwonymi płomyczkami. Zda się, że to procesya Bożego Ciała, rzucona nagle w przestworza piekła lub czyśćca. I ona dąży do świętego zwiastuna, a w dół, na cmentarz i krzyże sypią się kwiaty, lilie i róże i muskają ohydne postacie zmartwychwstańców. Z pod płyt nagrobnych znowu rój duchów majaczeje i zwartym szlakiem wzbija się w górę. A z góry po przez otwory w murach lecą do wnętrza cyrku mglisto jakieś istoty, błędne ogniki białawo, spowite w zasłony, niewyraźnych kształtów upiory, czy wampiry, czy szatany...

Dlaczego tu tyle straszydeł? Co oznacza bliżej ten chaos ogników, kwiecia i krwi? Z pewnością sam artysta nie umiałby nam odpowiedzieć. Nie żądajmy też od niego konsekwencyi i jasnej myśli przewodniej, bo jej zgoła mieć nie może fantazya średniowieczna, sklecona z posępnych motywów *Dies irae* i chyba *Tańca szkieletów* Saint-Saënsa. Takie a nie inne zmory wylęga pewnie schorzały mózg romantyka.

José Benlliure za ten, genialny pewnie pomysł, i pewnie za nieubłaganą dosadność w malowaniu ascetyzmu i cmentarnej atmosfery, za delikatne pół-tony, w których trzymaną jest całość, za pyszne refleksy światła rozpraszanego przez krzyż, światła, które odtąd będzie chyba wzorem dla wszelkich mistycznych aureoli— otrzymał medal pierwszej klasy.

Wybaczcie więc, żem mu tyle miejsca poświęcił — ale kończę, ażeby módz jeszcze wspomnieć o paru rzeźbach i o utworach malarzów polskich.

Cezary Jellenta.

POEZYA.

RYMY

autora „Strof."

I.

Tryumfator.

Kwiatami go uwieńczono...
Dano mu pomnik z granitu...
Kobiety z twarzą natchnioną
Płakały łzami zachwytu...

Cóż zdziałał mąż ów zwycięzki?
Czy nowym świat powiódł torem?
Czy zbawił ludzkość od klęski?
Ów wielki mąż był — tenorem...

II.

Wydziedziczony.

Żył pieśniarz zdala od świata,
Rzeźbiąc natchnienia klejnoty...
Myśl jego, w wiedzę bogata,
W pieśń wlała ducha tęsknoty...

I zmarł pewnego wieczoru...
Zostawił pieśń swą i — długi...
Za pieśń tę — wieszcza utworu
Wziął... tenor wieniec zasługi...

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Honory warty krytycznej przy ukazaniu się w teatrze *Hamleta*. — Przyczyna tego zaszczytu. — Melpomena i jej krewniaczka. — Poezya odwiedzająca swe dawne mieszkanie, do którego wróci.— Do kogo należy teatr nowożytny. — Przemowa Matejki i cierpienia jego przyjaciół. — Niesprawiedliwe wymagania. — Dym tytuniowy i bakterye. — Wiek nasz palący fajeczkę.— Syngalezi w roli Józefów i pamiątka z płaszcza. — Dwie ważne wiadomości.

Ktoś nieznający repertuaru teatrów warszawskich, spostrzegłszy w dziennikach obszerne rozprawy o wystawieniu *Hamleta*, mógłby mniemać, że tragedya Shakespeare'a po raz pierwszy weszła u nas na deski sceniczne. I dlaczego wznowieniu sztuki starej, dawno grywanej poświęcono tyle uwagi, zwłaszcza że nawet nie zajaśniała w niej żadna niewidziana „gwiazda" aktorska? Po prostu warta krytyczna prezentuje broń i bije w bębny, ile razy koło niej przechodzi wielki... poeta. Skądże ten stały zaszczyt? Przecież poeci dramatyczni już dziś nie dowodzą i nie zwyciężają — przecie nie na ich utwory tłumy łamią sobie żebra i rozchwytują bilety. Nie Shakespeare, Moliere, Schiller, Shelley, u nas nawet nie Słowacki, ale Sardou, Dumas, Augier, „robią kasę," im więc należą się krytyczne honory. Tymczasem o tych właściwych bohaterach, o ulubieńcach publiczności sprawozdawcy mówią jak o porządnych lub rozpuszczonych, dzielnych lub niedołężnych chłopcach: klepią ich po ramieniu, często raczą ostrym morałem lub drwinami, a nieraz nawet omłócą kijem. Przez dwa, trzy miesiące lub lata roboty owych krawców scenicznych są w modzie, potem przechodzą do składu starzyzny, a jeśli teatr wywlecze którąkolwiek z nich, krytyka ziewa, publiczność krzywi się i żąda czegoś nowego. Wtedy teatr wystawia „stylowo" meble i zabytki literatury, na które tłum patrzy z niemem gapiostwem a znawcy z archeologicznym podziwem. Więc ostatecznie co znaczy to ciągłe nużenie się świeżymi wytworami i ten powrót do starych arcydzieł? Znaczy po prostu, że żyjemy w epoce sztuki stosowanej do przemysłu teatralnego, ale nie zatraciliśmy w sobie tęsknoty do sztuki oderwanej od przemysłu. Dzisiejszy teatr— nietylko u nas, ale w całym świecie cywilizowanym — wymówił lokal poezyi i tylko wyjątkowo przyjmuje ją w gościnę. Zamieszkała w nim jakaś inna muza, spokrewniona nieco z Melpomeną, ale posiadająca wielce odmienną od niej naturę. Jest ona przedewszystkiem mieszczanką, lubi plotki, skandale, drobiazgi, przeróżne kwestye bieżące, intrygi miłosne, ludzi średnich, zwyczajnych, umiejących pływać po płytkim potoku życia. Za czasów Sofoklesa, Calderona lub Shakespeare'a wiedziano, że dramat lub komedya są to rodzaje poezyi, które mają swoje miejsce w literaturze. Tymczasem nowoczesne utwory sceniczne wypierają się szczerze związku z poezyą, wytworzyły sobie własną dziedzinę po za granicami literatury. Są to właściwie libretta aktorskie. Niepodobna ich czytać, można je tylko widzieć i to widzieć w pewnym „sezonie," jak kapelusz z ptakami lub krynoliny. Wszystko, co się narodziło, musi mieć swoją racyę bytu. Mają również ją to wyroby sceniczne. Przemożną klasą we wszystkich narodach jest dziś mieszczaństwo: do jego upodobań stosuje się wszystko, a więc i teatr, ono zaś nie chce w nim poezyi i filozoficznych rozmyślań, tylko drażniącą lub wesołą rozrywkę. Temu gustowi uległy powoli inne warstwy społeczne, ale w wielu pozostało nieświadome i niezadowolone pragnienie czegoś innego, które się objawia przy wskrzeszaniu starych arcydzieł poezyi dramatycznej. Nie odpowiadają one już wymaganiom dzisiejszym, stanowią jednak miłą pamiątkę, do której myśl chętnie wraca. W pojęciach naszych pod tym względem dokonywa się przemiana, która jeszcze nie dojrzała na tyle, ażeby niedługo sprowadziła przełom, ale go przygotowywa. Nie ulega żadnej wątpliwości, że prędzej czy później znowu poezya do teatru wróci. Kiedy epoka nasza wytrawi w sobie wszystkie te pierwiastki liche i bezpłodne, którymi obecnie się karmi, kiedy pusta i płytka zabawa przestanie być panią sceny, kiedy w łonie społeczeństw ożyją wielkie zagadnienia i głębokie uczucia, wtedy wystąpią talenty i geniusze dramatyczni, którzy z tego materyału wydobędą zdrój natchnień potężnych. Teraz jeszcze serca i mózgi są dla tych natchnień zamknięte. Muza teatralna siedzi ciągle w salonie, wymyśla najrozmaitsze niespodzianki, plącze najdziwaczniejsze powikłania stosunków ludzkich, układa dowcipne szarady, słowem bawi w swym przybytku gości. Ów przybytek to już nie świątynia, ale resursa, klub. Nie sądźcie, ażebym przeciw niemu powstawał. Bynajmniej. Według mnie, gdyby nawet żaby chciały sobie założyć własną operę, nikt nie miałby słusznego prawa temu się sprzeciwiać. Mogą więc korzystać z niego i ci, którzy nie potrzebują wielkich wzruszeń, tylko rozrywki. Ale swój teatr posiadać winni także ludzie innego rodzaju, dla których właściwie rodzą się geniusze. Obecnie ma go jedynie środek społeczeństwa — jego góra i dół, wyższa inteligencya i lud— nie. Pierwsza unika teatru, drugi zagląda czasem do bud jarmarcznych. Człowiek ukształcony, poważny, myśliciel lub poeta może czasem uczuć chęć uczestniczenia w najgłupszej zabawie; ale co zrobi, jeśli zapragnie głębszych wzruszeń artystycznych? Czy wtedy pójdzie na przedstawienie sztuki Sardou lub Dumasa? To jak gdyby, będąc głodnym, żuł prymkę lub ślazowe karmelki.

Ciekawa rzecz, czy Matejko bywa w teatrze? Wnosząc, z jego teoryi estetycznej, należałoby przypuszczać, że uznaje tylko przedstawienia pasyjne w Oberammergau. Teoryę tę co lat parę wykłada on na przemówieniach w Akademii sztuk pięknych, a nie można powiedzieć, ażeby jej nie rozwijał. Ile razy Matejko zamierza wypowiedzieć uroczystą mówkę, rozsądni przyjacie-

le drżą z obawy i gdyby mogli, zabraliby mu tego dnia buty, ażeby nie miał w czem pójść do Akademii. Po dokonanym popisie wzdychają smutnie, przyznając w duszy słuszność pismom, które mistrza wysykują. Po co on tak się kompromituje! — szepczą rozdrażnieni. Czy się kompromituje? Nie przeczę, że wywody jego są często maligną, bo gdzież sens tkwi w twierdzeniu, że żydzi pokalali sztukę, lub że malarstwo powinno być kościelnem? Żaden człowiek, który już sam sobie zaczął łyżkę do ust nosić i włosy czesać, dostrzeże tu niedorzeczność. Ale czy Matejko obowiązany jest mówić dorzeczności? Czy on jest filozofem, uczonym, publicystą? Jak wiadomo, pięta Achillesa dlatego była słabą, że matka trzymała go za nią, nurzając w Styksie dla ubezpieczenia przeciwko strzałom. Zapewne, w tej pięcie tkwiła ułomność bohatera i byłoby dla niego oraz dla jego ziomków lepiej, gdyby i ona nie podlegała zranieniu. Ale z drugiej strony, gdyby Tetys nie ujęła go za piętę i nie umoczyła w Styksie, nie odniósłby tyle zwycięztw. Lombroso opowiada, że u wielu ludzi znakomitych obudziła się nadzwyczajna zdolność wtedy dopiero, kiedy mocnem upadnięciem potlukli sobie głowę. Wszystko to dowodzi naprzód, że często siła człowieka jest uwarunkowana jakąś jego słabością. Być może więc, że Matejko nie byłby genialnym malarzem, gdyby nie był krótkowidzącym socyologiem i filozofem. Leonardo da Vinci — wielki malarz i uczony — przeczy tej hypotezie, ale wyjątki tylko umacniają regułę. Powtóre, dlaczego od ludzi, którzy nam dają wiele, wymagamy, ażeby nam dali wszystko? Wyobraźmy sobie, że do parlamentu wybrany został słynny tenor. Przy rozprawach o budżecie wchodzi on na trybunę i mówi: „Żalecam poprawkę, mianowicie żądam, ażeby przeznaczono milion rocznie dla śpiewaka, który wydobędzie najczystsze i najmocniejsze c. Wnoszę natomiast zaprowadzenie znacznych oszczędności na uniwersytetach i zakazanie najsurowsze pismom pomieszczania nieprzychylnych sprawozdań z oper.“ Jedyną odpowiedzią na te wnioski byłoby oświadczenie: wysłuchaliśmy cię szanowny mężu, a oklask damy wieczorem po przedstawieniu *Hugonotów*. I Matejko niech sobie baje, nie zważajmy na to, co on mówi, ale na to, co maluje. Jeśli przebaczamy takie bajanie zwykłemu radnemu miasta, tem bardziej przebaczyć winniśmy genialnemu artyście. To zaś, że on jest genialnym artystą, nie zobowiązuje go wcale, ażeby był głębokim myślicielem, tak jak piękny głos słowika nie wkłada na niego powinności dokonywania obliczeń astronomicznych. Jeżeli nie skarżymy się na to, że róża ma kolce, brzoskwinia — pestkę, skunks — odór, ryba — ości, czyż możemy się skarżyć, że wielki malarz jest małym estetykiem lub socyologiem? W procesie też, wytoczonym Matejce przez kilka pism za jego przemowę, widzę wielką niesprawiedliwość. Grecy nie pozywali Fryny za niemoralność, ale czcili jej piękność: my potępilibyśmy ją za to, że nie może być przełożoną pensyi. Czy słusznie? Natura czasem stwarza ludzi wielostronnej siły, ale tem nie upoważnia nas, ażebyśmy Mickiewiczowi wykłuwali oczy Goethem i ubolewali nad jego nieznajomością nauk przyrodniczych. Kto tam złorzeczy przymieszkom rudy złotej! Odrzuca je a czysty kruszec zatrzymuje. Deszczyk letni tak nie wsiąka bez śladu w spieczoną ziemię, jak zaginą w niepamięci mowy Matejki. Za lat sto nikt nie będzie nawet wiedział, że on w Akademii plótł ze słów dziecinne biczyki, że wogóle kiedykolwiek publicznie się odzywał; ale wszyscy z podziwem oglądać będą jego nieśmiertelne dzieła. I my na nie tylko patrzmy. Błędy swego myślenia maże urokami swego pędzla.

Pomiędzy lekarzami i ochotnikami bakteorologii wywiązał się dość żywy spór o zanieczyszczenie powietrza wyziewami kanałów. Ponieważ dziś każdy człowiek zajmuje się światem, odkrytym przez Pasteura i Kocha, więc przynoszę ciekawym najświeższy rezultat badań na tem polu, tem skwapliwiej, że chodzi tu o kanalizacyę daleko nam bliższą. Dr. Tassinari, asystent Instytutu hygienicznego w Pizie postawił sobie pytanie: czy dym tytoniowy (albo jak mówią nasze dzienniki — tabaczny) sprzyja rozwojowi bakteryj, czy też nie. Przepuszczał on go przez rurkę, w której znajdowała się bawełna, zastępująca usta i zawierająca zarazki: cholery, tyfusu, gruźlicy itd. Po wielu próbach przekonał się, że niektóre z nich rozradzały się słabo, inne zaś ginęły. Niech mu za to po śmierci fabryki tytoniu, dystrybucye i ich klienci wystawią pomnik z napisem: przechodniu westchnij za duszę męża, który umarł z rozpaczy nad tem, że ludzkość pali tytoń tylko ustami. Więcej tedy z tego odkrycia doznajemy smutku, niż wesela. Wolałbym, ażeby dr. Tassinari odnalazł był jakiś nowy rodzaj bakteryj. Znamy już ich bardzo wiele odmian, ale jest to zapewne drobna zaledwie cząstka ich ras, szczepów, plemion i gatunków. Wystarcza ona wszakże do zrozumienia tej prawdy, że życie nasze zależy nie od potęg rozumnych, działania swego świadomych, ale od niezliczonych w ilości i bezmyślnych w niszczeniu pyłków organicznych. Jest to słusznem zrządzeniem losu, że ludzkość odkryła świat bakteryj w wieku XIX, w wieku gnicia wszystkich pierwiastków cywilizacyi, kiedy jej powietrze zgęstniało wszelakiego rodzaju miazmatami. Przyrodoznawstwo szuka sposobów tępienia bacillusów fizycznych, ale senna i zgrzybiała dziś filozofia nie myśli o moralnych. Na zbyt ciężkie dolegliwości radzi tylko... palenie tytoniu i dezinfekowanie ust. Dym komunałów sentymentalnych ma zabojętnić zabójczą działalność olbrzymich kolonij drobnoustrojów żarłocznych i mnożnych — naiwne złudzenie! Na mądrość człowieka już liczyć trudno. Można tylko pocieszać się nadzieją, że czas, zniecierpliwiony jego niedołęstwem, rozstrzygnie za niego samą siłą rzeczy wiele zagadnień, z któremi on sobie poradzić nie może. Rozum ludzki porzucił daremne wysilki, jak sternik, który w martwej ciszy równikowej czeka cierpliwie na swym nieruchomym statku wiatrów, które wydmą żagiel i posuną go w pożądanym kierunku. Ile razy więc czytelniku dokuczą ci bakterye w duszy twojej, nałóż sobie i wypal fajeczkę, której dym niewątpliwie zniszczy ci zarazki pesymizmu.

Nie trzeba bluźnić, bo szczęście jest na świecie: czasem jako gwiazda, która na niebie tęczą barwnych świateł się pali i do serca nam swoje rozkoszne odblaski rzuca, czasem jako... trufel w ziemi ukryty, który czule na jego woń ryjki natychmiast odnajdą i wygrzebią. Czytelnicy pamiętają, jakim głębokim wzruszeniem uległ *tout le monde* Warszawy podczas pobytu w niej syngalezów. Zwłaszcza płeć piękna, oczarowana ich bardzo szczerze ujawnionymi wdziękami, rozpływała się w zachwytach. Mówiono nawet o objawach sympatyi, wychodzących daleko po za parkan Zwierzyńca i upewniano, że przytrzymywani Józefowie z Cejlonu dlatego tylko, uciekając, nie zostawili w Warszawie swych płaszczów, że przedsiębiorca wybłagał dla nich od wielbicielek okrycie na dalszą podróż, odbywaną przez kraje zimne. Obiecują oni powrócić do nas, zaopatrzywszy się w dostatniejszą garderobę. Oby tylko nie spotkało ich gorzkie rozczarowanie! Bo kto wie, czy serc syren warszawskich nie podbili właśnie prostotą i oszczędnością swego ubrania? Bądź co bądź, jest już dziś faktem stwierdzonym, że wylewy naszych uczuć dla syngalezów nie miały nic wspólnego ani ze staropolską gościnnością, ani z wyrachowaniami politycznemi. Ostrzegam o tem wyraźnie przyszłego historyka, który mógłby się zbłąkać w ocenianiu objawu i nie dostrzedz w nim upostaciowania legendy biblijnej.

Z obowiązku protokulisty tygodniowego winienem zapisać jeszcze dwie niezmiernie ważne wiadomości: 1) telegram *Kuryera warsz.* z Wiednia donosi, że przybyła tam Sara Bernard i przywiozła z sobą do spania trumnę, 2) dr. Drz. otrzymał od jednego z pism filadelfijskich zaproszenie do współpracownictwa. Przynajmniej mamy o czem teraz myśleć.

Poseł Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Szkoły. Uzupełniono rozporządzenia, odnoszące się do utrzymywania i zakładania chederów. Dzieci, uczęszczające do owych zakładów, powinny mieć nie mniej, niż pięć lat i koniecznie codzień pobierać jedną lub dwie godziny lekcyj języka ruskiego i konwersacyi ruskiej.

Prace studentów. Z pomiędzy prac przedstawionych przez studentów uniwersytetu warszawskiego w r. b., następujące wyróżniono nagrodami pieniężnemi: „Działalność prawodawcza Piotra W.“ p. K. Abramowicza; „Statystyka kryminalna w Rosyi europejskiej“ p. H. Cylkowa; „Rozbiór chemiczny wody z głębokości 5o stóp z rozszczelny naftowej“ p. J. Morozowicza; „Rozbiór gazów ze źródeł naftowych“ p. A. Siemionowa; „Zarys flory okolic Nowej Aleksandryi“ tegoż autora. Nadto p. S. Holewiński otrzymał list pochwalny za pracę p. n. „Szkoła ukraińska w poezyi polskiej XIX w. i jej przedstawiciele.“

Ministeryum spraw wewnętrznych opracowywa ustawę lekarską dla gmin w miejscowościach, gdzie niema instytucyj ziemskich.

Wynalazek. *St. Petersb. Herold* donosi, iż wkrótce w głównym zarządzie poczt i telegrafów dokonane będą próby z nowowynalezionym przez prof. Graya aparatem, nazwanym „telaulografem.“ Z pomocą jego można będzie na odległości 5oo mil korespondować z zachowaniem wszelkich właściwości charakteru pisma.

Zapis. W okolicy Kazania zmarł Józef Młocki. Zapisał on 2,000 rs. na warszawskie instytucye dobroczynne.

Felczerki. W szkole felczerskiej przy szpitalu Dzieciątka Jezus, praktykują obecnie trzy kobiety.

Tyfus plamisty panuje w Mokotowie. Chorobie tej podlegają przeważnie dzieci.

Prawo o pracy małoletnich w fabrykach i zakładach przemysłowych, oraz o nocnej pracy kobiet przedłużono do 13 stycznia 1890 r.

Dzienniki niemieckie domagają się od rządu zakupienia pewnej liczby dóbr w Lotaryngii od właścicieli francuskich.

Konkurs. W Berlinie ogłoszono konkurs na bilety wizytowe i rysunek do kart wejścia na wieczory tańcujące. Mogą brać udział rysownicy wszystkich krajów. Nagroda 100 marek.

Zastawy. Wobec wprowadzenia w życie nowej ustawy o zastawach dla zabezpieczenia wpływu akcyzy, wydano nowe przepisy, na mocy których na zabezpieczenie akcyzy od nafty będą przyjmowane w zastaw nieruchomości, aparaty, przybory sklepowe, zbiorniki itd. Wszystkie te przedmioty przyjmowane będą w stosunku 60% ich szacunku.

Żydzi. Senat rządzący wyjaśnił, że osady zaliczone są do kategoryi miast, a zatem prawo z d. 3 maja 1882 r., zabraniające izraelitom osiedlać się we wsiach, nie stosuje się do osad.

Nową planetę odkryto z obserwatoryum wiedeńskiego.

Dr. Kallenbach, docent na uniwersytecie Jagiellońskim, otrzymał zapomogę dla robienia za granicą studyów nad historyą. Udaje się w tym celu do Paryża i Londynu.

Sprawy kolejowe. W celu wykonania rozkazu ministeryum komunikacyi, polecającego wszystkim kolejom żelaznym na 15 grudnia r. b. złożenie wykazów: jakie w przyszłości zakładane będą instytucye przezorności — zarząd drogi Wiedeńskiej i Bydgoskiej polecił całej służbie przystąpić natychmiast do głosowania na wybór delegatów, mających w imieniu ogółu służby orzec, czy założona być ma podług

normalnej ustawy kasa emerytalna, czy też kasa zabezpieczenia. Rozdano już kartki. Oddzielna delegacya zajmie się obliczeniem głosów, które muszą być złożone najdalej do 10 listopada r. b.

Ruskie muzeum powstaje w Pradze czeskiej, w celu dokładnego pouczenia czechów o stanie kultury Rosyi i jej mieszkańców.

Wywóz mięsa. Dzienniki petersburskie donoszą, iż dla ułatwienia wywozu mięsa za granicę (szczególnie solonej wieprzowiny) ministeryum skarbu postanowiło przyznać kredyt bankowy eksporterom w wysokości 60% ceny miejscowej.

Oświetlenie elektryczne. Wobec pomyślnych prób oświetlenia elektrycznego pociągów na kolei Mikołajewskiej, postanowiono na kilku innych drogach zaprowadzić takież oświetlenie w wagonach pociągów kuryerskich.

Praca. Towarzysz ministra spraw wewnętrznych zwrócił się do niektórych gubernatorów z wnioskiem, aby zakaz pracowania w święta i dni galowe był zniesiony. Przyczyną tego jest nagromadzenie zboża na stacyach kolejowych i w składach.

Wystawa monachijska sztuki stosowanej do przemysłu zakończyła się niedoborem w sumie 240 marek.

Podatek. Od d. 13 stycznia 1890 r. od wszystkich zagranicznych stowarzyszeń udziałowych ściągane będą dodatkowe opłaty procentowe, co przyniesie rocznego dochodu około 2,500,000 rs.

Uniwersytet. Prywat-docent moskiewskiego uniwersytetu, p. Uljanow, mianowany został p. o. docenta tutejszego uniwersytetu na katedrze porównawczej gramatyki języków słowiańskich, na miejsce p. Stanisława Mikuckiego, docenta, który wysłużył pełną emeryturę.

Cykorya. Wskutek założenia pod Warszawą suszarni cykoryi (czynnej od miesiąca), suszony korzeń tej rośliny spadł w cenie do rs. 800 za ładunek wagonowy. Dostawa więc owego produktu z dalszych stron już się nie opłaca, a plantacye prowincyonalne muszą się zadawalać obsługą fabryk także prowincyonalnych.

Szkoła nauki zręczności (*slöjd*), założona przed miesiącem w Krakowie, liczy już przeszło 100 uczniów, między nimi do 40 nauczycieli szkół ludowych. Zakład posiada 20 warsztatów, stolarnię, tokarnię i znaczną ilość narzędzi. Sejm przyznał szkole zapomogę 500 złr.

Zapadanie się gruntu. Oddział inżenieryi, który od r. 1884 prowadzi obliczenie poziomu powierzchni Francyi, wykazał znaczne i ciągłe zniżanie się gruntu w kierunku południowo-północnym. Przestrzeń kraju pomiędzy Marsylią a Lille (820 kilometrów) zapada się na 3 kilometry (?) rocznie. Gdyby to trwało dalej, w przyszłości północną Francyę czeka los Niderlandów (w XIII w.).

Słnżba wojskowa. Dotychczas jedynacy, mający matki wdowy lub ojców, liczących przeszło lat 50, korzystali pod względem służby wojskowej klasy pierwszej, tj. byli zapisywani bezpośrednio do zapasów armii. Obecnie (donosi *Herold*) wejdzie w życie prawo, na mocy którego owi młodzieńcy, chociaż będą korzystali z ulgi pierwszej klasy, będą powoływani co dwa lata pod broń dla ćwiczeń sześciotygodniowych.

— Z powodu zbliżającego się terminu poboru do wojska, wydano rozporządzenie, aby wszyscy popisowi, przebywający w Warszawie za paszportami, udali się koniecznie do swych urzędów rekruckich, z wyjątkiem osób, które przedstawiają prawne dowody wyłączenia, tj. zwłokę do ukończenia nauk, stan majątkowy itd. Naczelnik biura kontroli służących nie może dopuszczać przedłużeń paszportowych służącym popisowym, dopóki ci nie przedstawią dowodów z odbytej powinności wojskowej. Właściciele i rządcy domów podlegać będą surowej karze za ukrywanie popisowych.

Komitet Towarzystwa sztuk pięknych przypomina, że na najbliższą wystawę konkursową będą przyjmowane wyłącznie utwory malarskie; konkurs zaś rzeźbiarski odbędzie się w r. 1890. Nagrody wynoszą 600, 300 i 100 rs.

Zjazdy rolnicze. Pod prezydencyą wice-ministra dóbr państwa, na początku roku przyszłego odbędą się dwa zjazdy: rolniczy, na którym będzie rozpatrywana sprawa utworzenia instytucyj kredytowo-pożyczkowych udzielających pożyczki na zastaw przedmiotów drobnego przemysłu i zjazd przemysłowców rybnych, na którym między innymi będą rozpatrywane przepisy, zakazujące połowu ryb podczas znoszenia ikry.

Nowy podatek. W ministeryum skarbu podniesiono projekt obanderolowania wody sodowej i wogóle wód mineralnych. Z rozporządzenia ministeryum w roku zeszłym zebrano szczegółowe dane o fabrykacyi tych wód.

Wyjaśnienie. Ministeryum sprawiedliwości zawiadomiło prezesów sądów okręgowych w Królestwie Polskiem, że wszyscy urzędujący w okręgu sądowym warszawskim rejenci mogą korzystać z bezpłatnej przesyłki listów zwyczajnych i rekomendowanych do władz i instytucyj sądowych.

Ubezpieczenia. Na odbytej sesyi rady zarządzającej zakładów akcyjnych Szejblerowskich, postanowiono wszystkich robotników i oficyalistów, w liczbie około 12,000, ubezpieczyć na wypadek śmierci, kalectwa lub nieudolności, w połowie w warszawskim oddziale Towarzystwa „Rosya,“ w połowie w Tow. „Pomoc.“ Ubezpieczenie wprowadzone będzie w roku przyszłym w stosunku do pracy dziennej.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Maryan. Por. Byłby to spis za długi i bezcelowy, tem bardziej, że w *Hist. fil.* Ueberwega znajdzie Pan przy Kancie wykaz ważniejszych prac, dotyczących jego filozofii.

Al. P. Metody nie prowadzą do celu. Najpewniejszem i najskuteczniejszem jest tłomaczenie utworów klasycznych ze słownikiem przy poprzedniej znajomości głównych zasad gramatyki.

A. Dumania Pańskie są pasmem myśli starganych, nie wysnuwają się w żaden obraz wyrazisty, a przytem ich forma zbyt pospolita.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na poczcę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Октября 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.